# ZIMOWA POWIEŚĆ.

(WINTER'S TALE.)

1/2 pl.

## Dramat Szekspira

przełożył G. E.

W przedmowie objaśniony stosunek treści tego dramatu do wydarzeń zaszłych w Polsce w XIV wieku.

(Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego".)



KRAKÓW,
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem K. Mańkowskiego.
1871.

# PRZEDMOWA*).

Około r. 1570 wyszła pierwszy raz z druku powieść, napisana przez mistrza Roberta Greene, pod tytułem: Pandosto czyli tryumf czasu, po raz 11sty w r. 1609 przedrukowana, a Johnson'owi znana także pod tytułem *The pleasant history of Dorastus and Faunia.* Treść jéj taka: Pandosto, król Bohemii, ożeniony z Bellarią, córką władzcy Rusi (*emperror of Russia)*, przyjął w odwiedziny towarzysza młodości, Egista, króla Sycylii. Z zachęty i namowy męża, Bellaria najserdeczniejszą okazywała gościowi uprzejmość, i z naleganiem opóźniała zamierzony jego wyjazd. Z tego wywiązał się stosunek poufały, który wzniecił w umyśle Pandosta podejrzenie, iż jest zdradzonym. Zażądał więc od Franiona, podczaszego, a nawet mu śmiercią w razie odmowy zagroził, żeby trucizną zaprawił napój podawany Egistowi, Franion jednak, wyjawiwszy Egistowi zamiary Pandosta, uszedł z nim razem do Sycylii. Utwierdzony tą ucieczką w swoich podejrzeniach, Pandosto wtrącił żonę do więzienia, gdzie ta wydała na świat córkę, przez ojca nie uznaną, i z jego rozkazu porzuconą w łodzi na otwartém morzu. Potem na żądanie szlachty, zwołał na królową sąd, na którym

*) W przedmowie objaśniony stosunek treści tego dramatu do wydarzeń zaszłych w Polsce w XIV wieku.)

sam zasiadał. Bellaria odwołuje się do wyroczni delfickiéj, któréj odpowiedź, na posiedzeniu sądowém odczytana, głosi, że Bellaria jest nieskażoną, Egist bez zarzutu, Franion wiernym sługą, a Pandosto niesprawiedliwym prześladowcą. Przekonany słowami wyroczni, Pandosto przeprosił publicznie królowę; wkrótce jednak, wiadomość o nagłéj śmierci syna ich Garintera tak silnie dotknęła królowę, iż ta niebawem także życie zakończyła. Tymczasem, córka Pandosta, wyrzucona przez burzę na brzegi sycylijskie, została znalezioną, i pod imieniem Faunii wychowaną przez pasterza Porrusa. Spotyka ją przypadkiem Dorastus, królewicz sycylijski, a następnie, rozmiłowany w niéj, zamierza z nią się żenić, bez względu na to, że ojciec przeznacza mu królewnę duńską za żonę. Uciekają z pomocą niejakiego Kapniona, mentora książęcego, i zabierają z sobą Porrusa. Przez burzę zagnani do jakiegoś portu, należącego do króla Bohemii, zostają przytrzymani jako podejrzani, i przyprowadzeni przed króla. Dorastus przybiera imie Meleagra, udaje że jest szlachcicem z Transpolonii, a narzeczona jego włoszką z Padwy. Pandosto, ujęty wdziękami Faunii, postanawia ich rozłączyć, a Faunię sobie zjednać. Mniemany Meleagrus wtrącony do więzienia, a Faunia odrzuca zaloty starego Pandosta. Tymczasem nadchodzi poselstwo z Sycylii. Wykrywa się, że Melearus jest Dorastem, królewiczem sycylijskim, a Faunia niby córką pasterza, która zalotnością swoją uwiodła księcia. Żąda więc król sycylijski żeby Dorastus był wysłany napowrót do Sycylii, a Faunia ukarana śmiercią, wraz z wspólnikami swojemi, Porrusem i Kapnionem. Już wyrok ma się wykonać, kiedy Porrus wyznaje, że Faunia nie jest jego córką i opisuje wszystkie okoliczności towarzyszące jéj znalezieniu. Te okoliczności prowadzą do odkrycia, że Faunia jest córką Pandosta. Wszystko się zmienia. Dorastus poślubia Faunię. Radość powszechna, któréj nie podziela sam tylko Pandosto, i po weselu córki życie sobie odbiera.

Dziwaczna ta powieść, pełna nazwyczajnych przygód, przypomina poniekąd hiszpańskie i włoskie owego czasu nowelle, wielką wtedy wziętość mające (gdzie królewicze i księżniczki nieraz przedzierzgają się w mniemanych pasterzy, a miłość i zazdrość głównemi są sprężynami akcyi. Samo to jednak rodzajowe podobieństwo, nawet przy przemagającym tu tragi-

cznym elemencie, nie byłoby może wyróżniło téj zbyt skomplikowanéj, zbyt jakby się zdawało nieprawdopodobnéj powiastki od mnóstwa innych, nieraz w daleko składniejszą formę ujętych, gdyby nie przydawała jéj większéj wagi i zajęcia ta okoliczność, że odbijał się w niéj odgłos dziwacznych wprawdzie ale wiarogodnych przygód, opowiadanych w długie zimowe wieczory przez tych, co szukali sławy wojennéj na ukrainach chrześcijańskiéj Europy. Bo, gdy już wypraw do Ziemi Świętéj zaniechano, wielu znakomitych rycerzy angielskich w XIVtym a nawet w XVtym jeszcze wieku, udawało się na dwór krzyżacki, będący wtedy najświetniejszą szkołą gasnącego rycerstwa, słuchając głosu wzywającego do udziału w wyprawach upozorowanych zadaniem nawrócenia niewiernych. Tam, wśród innych znakomitego rodu ochotników lub sprzymierzeńców, spotykali i królów Bohemii, z którymi na innych polach przedtem kopie kruszyli, dochodziły ich téż liczne wiadomości o książętach bliższéj i dalszéj Polonii, Danii, Russyi i Sylezyi *). Sama już w powieści Green'a wzmianka o Bohemii, Transpolonii, Danii i Rusi, dopuszcza możność doszukiwania się źródła tych podań w ognisku, gdzie wiadomości o pomienionych krajach zbiegać się mogły; uderzające zaś podobieństwo głównéj treści powiastki z wypadkami zaszłemi ku końcowi XIVgo wieku w rodzinie książąt mazowieckich, naprowadza na domysł, że powieść Green'a osnutą być mogła na tle ustnych lub nawet spisanych, lecz zatraconych, opowiadań, przyniesionych z krajów nadbaltyckich, a odnoszących się do naszych dziejów. Kto miał sposobność przekonania się w jaki sposób przetwarzały się relacye z oddalonych krajów, luźnemu opowiadaniu, dowolnie wymysłami fantazyi przystrojonemu, powierzone, tego nie tyle uderzy topograficzny nieład; trawestacya imion, wreszcie przeistoczenie niektórych faktów, utrudniające rozpoznanie na pierwszy rzut oka źródła, z którego pierwsi bajarze opowiadaną przy kominku dziwną historyę czerpali; ile raczéj to go zadziwi, iż po dwustu latach, po przejściu przez tyle wyobraźni

*) Może to Sylezyę nieświadomi przerabiacze opowiadań na Sycylię morzem oblaną zamienili. Jest téż w kronice Galla graniczącą z Polską Salencya albo Selencya nad morzem leżącego. Zob wyd. Bandtkiego *Prooemium* str. 15.

i tyle ust, w redakcyi Green'a, który sam też nie miał żadnego obowiązku trzymania się ściśle tego co słyszał, tak wiele jeszcze zostało charakterystycznych rysów, tak wiele rodowego podobieństwa z wydarzonemi ku schyłkowi XIVgo wieku wypadkami, ktorych główną widownią było sąsiednie krzyżakom Mazowsze. Że tu jednak stoi Bohemia zamiast Mazowsza (do którego Jan Luxemburski rościł prawo zwierzchnicze), że nie z Rusi, ale ze Szląska, pochodziła posądzona niewinnie księżna (Elżbieta żona Ziemowita), że nie do mazowieckiéj księżnéj, lecz raczéj do polskiéj królowy (Jadwigi) odnosić się mogła wieść o sądzie uroczystym, który oskarzyciela królowéj potwarcą miał ogłosić, że nie gość książęcy (Witold) był podejrzany o występne z księżną stosunki, że nie córka ale syn (Henryk) przez ojca nieuznany, porzuconym był a następnie odzyskanym, że nie z synem książęcego gościa (Witolda) lecz z siostrą jego (Ryngałłą) odzyskane dziecko wstąpiło w związek małżeński, z obowiązkami stanu jego niezgodny, (Henryk, bowiem przeznaczony był do stanu duchownego); są to różnice, które się łatwo tłomaczą niedokładną wiadomością pierwszych i dowolnością następnych opowiadaczy; równie jak nadmorskie położenie Bohemii, mające jéj ułatwić stosunki z Sycylią, da się objaśnić mniejszą w jeografii, jak w wojennych zabawach, biegłością rycerzy, którzy, gdy z kraju morzem otoczonego do ziem krzyżackich nie inaczéj jak morzem dostać się mogli, i Bohemii też posiadania morskich wybrzeży nie mieli powodu odmawiać, choćby nawet nie zasłyszeli o szerokiem niegdyś króla Ottokara władaniu, którego dzierżawy do morza adryatyckiego zbliżyły się. Za to, charakterystyka osób, treść wypadków i połączenie w jedną powieść przygód dwudziestoletnią przerwą oddzielonych, obok topograficznych wskazówek, o których się wyżéj wspomniało, podaje materyał do analogicznego zestawienia powieści Green'a z historyczną treścią z naszych dziejów czerpaną; analogii zaś téj nie osłabia, lecz ją raczéj popiera, powoływanie się w ciągu powieści na pogańskie bóstwa i wyrocznie. Jak bowiem Krzyżacy, Litwinów stanowczo za pogan mieli, i o nawróceniu samego Jagiełły wątpliwie się wyrażali, tak też i słowiańskiéj mowy sąsiadom niechętnie zaszczyt chrześciaństwa przyznawali, gotowi raczéj wszystkich mieć za pogan, prócz siebie i swoich.

Jeżeli teraz od powieści Green'a przyjdziemy do dramatu, który Szekspir z niéj utworzył; w nowych przeobrażeniach danéj treści, obok przydanych szczegółów od prawdy dziejowéj odbiegających, znajdziemy inne, które dopatrzoną analogię bardziéj jeszcze wzmacniają. Chociaż, bowiem z jednéj strony, Szekspir to, co według powieści Green'a, dziać się miało w Bohemii, przeniósł do Sycylii, i na odwrót, wypadki sycylijskie do Bohemii przerzucił; chociaż nadto, mniéj odbiegający od historycznego wątku, zgon niewinnie posądzonéj księżnéj zastąpił śmiałym wymysłem, według którego księżna, pozornie tylko zmarła, staraniem wiernéj przyjaciółki od śmierci ocalona i w ukrytém miejscu przechowana, po kilkunastu latach wraca do świata; za to, z drugiéj strony, odrzucając nie potrzebną i wstrętną komplikacyę zalotów starego Pandosta do mniemanéj pasterki, uprościł akcyę, i zawarł ją w sferze tych psychologicznych analogii, jakie między treścią legendy a treścią historyczną daje się upatrzyć, a co najgodniejsze uwagi wprowadził, i z wielkiem wykończeniem uwydatnił nieznaną w powieści Greena postać owéj przyjaciółki najwierniejszéj, co tak wiele na pomyślniejsze rozwiązanie dramatu wpłynęła; tak jak gdyby zasłyszał o owych służebnych, co pod mękami przeciwko pani swojéj świadczyć nie chciały, lub o owej szlachciance z pod Rawy, u któréj przez lat kilka przechowywało się odtrącone dziecko Ziemowita. Imiona osób nie te co w powieści Green'a: Polixem jest królem Bohemii, Leontes Sycylii Hermiona jego żoną, Perdita zgubioną córką, Paulina wierną przyjaciółką, Florycel synem Polixena i t. d. *).

---

*) gdybyśmy chcieli do ostatka wyczerpnąć wszystkie możliwe kombinacye wysnuwające się z tego założenia, iż tak w treści jak w niektórych szczegółach dramatu, odbijają się podania i reminiscencye do dziejów polskich odnoszące się moglibyśmy przypuścić, iż na skreślenie charakteru Florycela wpłynąć mogły zasłyszane może przez Szekspira, w młodych jego latach, wieści o tym współczesnym księciu Transpolonii (Litwy), a późniéj mądrym i sławnym królu polskim. który gotów był raczéj wyrzec się prawa do korony, jak złamać wiarę zaprzysiężoną małżonce nierównego stanu. W scenie XI, tam gdzie Florycel zagrożony jest wydziedziczeniem, jeżeli nie porzuci Perdity, znajdują się miej-

Jakkolwiekbądź, pomimo wytkniętéj wyżéj dosyć uderzającéj analogii między treścią sztuki Szekspira a wypadkami ku schyłkowi XIVgo wieku w Polsce zaszłemi, wyznać należy iż podobieństwo nie jest jeszcze tak dalece wybitném, iżby usuwało wszelką zgoła wątpliwość, co do trafności domysłu względem dróg, jakiemi wypadki przejść mogły w opowiadania, a te w legendę i dramat. W każdym razie, cała zasługa téj śmiałéj i przenikliwéj hipotezy, wraz z odpowiedzialnością za jéj wiarogodność, należy się panu Jakubowi Caro, autorowi wydanéj w ostatnich czasach po niemiecku historyi polskiéj, będącéj dalszym ciągiem znakomitéj pracy, którą Roepell rozpoczął, a teraz p. Caro do jagiellońskich czasów doprowadził. W dziele tém, nie tyle może zalecającem się bezstronnością, ile świetnym wykładem, p. Caro zwraca szczególną uwagę na ruchliwy charakter dziejów polskich w wieku XIVtym, gdzie tyle się przeplata energicznych i namiętnych poruszeń, tyle przygód nadzwyczajnych na dworach królewskich i książęcych że odgłos tych zadziwiających wypadków mógł się po całéj Europie rozchodzić, i służyć za materyał do osobnego cyklu legend, których filiacya przy bacznem śledzeniu da się niekiedy odszukać. Poniżéj zamieszczamy w przekładzie wyjątki z dzieła p. Caro do tego przedmiotu odnoszące się, i stanowiące zarys hipotezy, którą staraliśmy się zastósować do powieści Green'a jako do głównego źródła, z którego Szekspir zaczerpnął treść swego dramatu. Teraz powiemy jeszcze kilka słów o artystyczném znaczeniu tego utworu.

Uderza przedewszystkiem sam tytuł: *Winter's Tale* Nie *Mährchen*, jak w przekładach niemieckich, nie *Baśń* ale *Tale*:

---

sca, w których koloryt sytuacyi i same nawet wyrażenia napomykać się zdają na upoetyzowane relacye o wiadomem znalezieniu się Zygmunta Augusta w sprawie o zaślubienie Barbary. Naprzykład (scena XI):

Kamillo. To rozpacz, panie.

„Florycel. Tak sobie nazwij, ale tym sposobem „spełniam ślub, i muszę to uważać za uczciwe. Kamillo! „ani za Bohemię i wszelką chwałę, jakąbym mógł w niéj „zebrać. ani za wszystko co słońce widzi, lub co głębokie „morza kryją w nieznanych przepaściach nie chcę złamać „wiary zaprzysiężonéj téj pięknéj, ukochanéj mojéj“ i t. d.

opowiadanie, powieść. Jakiż to tytuł dla dramatu? Mniemałby kto, wziąwszy książkę do ręki, znaleźć narracyę, znajduje ruch dramatyczny, gorące życie, charaktery, które się same czynami swemi wypowiadają, grę namiętności, wypadki z żywem złudzeniem przedstawione, jednem słowem, niewątpliwy dramat. Ale ten dramat dziwnie się snuje. Brak mu na pierwsze wejrzenie, głównego warunku wszelkiéj dramatycznéj kompozycyi, jedności akcyi, jedności interesu. Cały interes skupia się pierwotnie na Hermionie. Jest tu akcya tragiczna silnie zawiązana w środku sztuki rozwiązanie swoje mająca. Hermiony śmierć, która dla widza, zarówno jak dla Leontesa, wydaje się rzeczywistością, zakończa trajedyę. Niechże się widzowie nie rozchodzą; po trajedyi nastąpi jeszcze dramat pasterski, w którym już nie Hermiona, tylko córka jéj Perdita będzie główną osobą. Nie tylko szesnastu lat przedział, ale i charakter téj drugiéj części, czyli raczéj drugiéj sztuki, cały jéj nastrój i poetyczny zamiar, stawiają ją na tak odmiennem od poprzedniéj stanowisku, że, pomimo związania treści tych dwóch utworów ciągłością losu kilku głównych osób, zwłaszcza Hermiony (niespodziewanie wskrzeszonéj), wrażenia widza są jakby rozproszone na dwa kierunki, które o tyle tylko zejdą się w pojęciu więcéj zagadkowéj jak widocznéj logiki życia „o ile mistrzowi powiedzie się z taką prawdą wystawić pobudki działań szczegółowych osób, iżby widz zniewolony był zainteresować się nie samą tylko idealną stroną, ale i zjawiskowym ruchem wypadków. Te, w dziwnéj swéj plątaninie, uchylającéj się nieraz od dochodzeń rozumu (jak mówi nasz Kochanowski), przedstawiają nam zmięszany obraz złéj i lepszéj doli, nie zawsze odpowiedni moralnéj lub praktycznéj wartości czynów; tak, że, jeżeli od wrażeń tragicznéj zgrozy przechodzimy potem do innych, których ostatecznym wyrazem jest uspokojenie i przejednanie, nie zdaje się to być wynikiem niezbędnéj konieczności, ale raczéj dobréj woli, osobistego usposobienia, jakby łaski poety. Nic łatwiejszego, jak w podobnym planie, nie odpowiadającym zwyczajnym warunkom dramatycznéj kompozycyi, zaznaczyć błąd estetyczny; ale mając do czynienia z Szykspirem, bezpieczniéj tu będzie podziwiać raczéj szczęśliwą śmiałość wytrawnego mistrza, który do tego stopnia sztukę opanował, że, pewny siebie, nie waha się złączyć w jedną całość dwa epi-

zody różnéj natury, z nieostygłéj jeszcze tradycyi wykrojone. Nie zraża się brakiem jedności tematu, ani nadzwyczajnością przygód, w których przypadkowość tak wielki zdaje się mieć udział; cokolwiek da, tryśnie z tego życie na wskróś zrozumiane; wrażeniami rozporządza, wzburzy je i uciszy jak zechce. Podobało mu się na ten raz, jemu, co tyle razy wstrząsał duszę słuchaczy obrazami tragicznego losu, użyć elementu komicznego nie tyle w sposobie antytezy życia, potęgującéj wrażenie zgrozy, ale raczéj jako środek rozpogodzenia widnokręgu, na który tyle już chmur czarnych nasunął, słonecznym blaskiem nadziei. Nic jeszcze w pierwszéj części nie zapowiada, „że wróci spokojność, wróci“, a jednak wraca, jakby dla tego, żeby i słabsze umysły do wytrwałości w walce życia zachęcić. Oczywiście nie każdemu by się to udało. Słabsza ręka nie zdołałaby bezkarnie tak igrać wrażeniami widzów; on jednak wie co robi, nie wątpi że mu się powiedzie, i dla tego, w prologu do drugiej części, śmiało zachęca widzów do cierpliwego wysłuchania dalszego ciągu rozerwanego dramatu, zapewniając ich, że nie będą narzekali na złe użycie czasu. Że jednak umyślnie rozminął się tu z tak dobrze znanemi sobie prawidłami sztuki, ślad tego i w tytule zostawił, w którym daje poznać, że, pod osłoną formy dramatycznéj, zachowany tu został w układzie charakter powieści. Nic wam tu więcéj nie dam, zdaje się mówić, tylko znaną z zimowych wieczorów rycerską powiastkę, z tą chyba różnicą, że, zamiast tego, żeby słuchać opowiadania, patrzyć będziecie na sprawy ludzi, jakby żywych. Nie raczy zmienić nawet porządku opowiadania; rzuca scenę po scenie, jakby rozdział, po rozdziale. Nie warto się trudzić (zdaje się mówić jeszcze) nad sztucznym układem dramatu; wezmę jakiekolwiek fragmenta życia namiętnościami zaburzonego, i znajdę w nich gotowy dramat. Jakoż rzeczywiście znajduje, a sztuka, któréj zdaje się unikać, posługuje mu jak wierna niewolnica, i najwyborniejsze środki swoje oddaje mu do rozporządzenia. Chcecie trajedyę? Macie ją w pierwszéj części. Cała skończona i zaprawdę niezła. Obraz postępów namiętnéj zazdrości w Leontesie stanowi wykończone najstaranniéj (jak dziś mówimy) studyum psychologiczne; Hermiona, co płakać nie zwykła, postać posągowa i nie dająca się zapomnieć; Paulina niezrównany i niezwykły typ namiętnéj przyjaźni kobiecéj, je-

den z najszczęśliwiéj przez Szekspira pomyślanych charakterów. Ale chodźcie teraz na inne widowisko. Prosta rzecz, że inne tu czynniki muszą być poruszone, żeby zrównoważyć poprzednie wrażenia, nie niszcząc ich, i na ostatku zlać je w inne, któremi podobało się mistrzowi widza uraczyć. Wejdziecie w prostacką sferę uczuć i pojęć, zobaczycie idyllę nie perfumowaną, ale szorstką; potrzebny tu będzie i rzezimieszek jarmarczny (ów Autolik, którym się anglicy nie mogą dosyć nacieszyć), łotrzyk, co czuje wdzięki natury a stryczka się boi. W tem otoczeniu zajaśnieje Perdita, jak czysta perła, śliczna, nieco dumna dziewczyna, która właściwie jest illustracyą i dopełnieniem Hermiony, bo ją przypomina taką, jaką musiała być w pierwszéj młodości. A na zakończenie, scenę dziwaczną i prawie niepodobną do prawdy, znajdziecie tak przedstawioną, że wyda się możliwą a nawet rozumną; w niéj bowiem wyrazi się ów pogodny nastrój ducha, co góruje nad zmiennemi wypadkami losu, a w wytrwałéj cierpliwości szuka i znajduje pobudki do oparcia się pokusom rozpaczy.

Takie jest tło kompozycyi, którą wytrawny mistrz w zupełnéj dojrzałości talentu i doświadczenia podał światu, jakby na próbę niewyczerpanéj zasobności swego geniuszu. Dramat ten, przedstawiony w r. 1611 jest jednym z ostatnich utworów Szekspira, a chociaż, pod względem doniosłości tematu, nie da się może porównać z najgłośniejszemi jego arcydziełami jednak wielce do nich się zbliża, i na szczególną zasługuje uwagę, tak ze względu na śmiałość dramatycznego pomysłu, jako też ze względu na szczęśliwe wywiązanie się z trudnego zadania, jakie poeta sam sobie założył. Nadto, tę ma zaletę, iż widoczniéj, jak w wielu innych dramatach, odsłania się w nim etyczna strona szekspirowskiéj filozofii życia. Ta ostatnia uwaga o tyle może nabrać znaczenia, o ile zgodzimy się na to, iżby oddzielnie w każdéj sztuce dobadywać się całego Szekspira, takiego, jakim był w epoce tworzenia dramatu, nie stawiając wniosków naszych w zbyt ścisłéj zależności od teoryi, jakąbyśmy z rozbioru innych sztuk wysnuć mogli. Napotykać się mogące sprzeczności niech nas nie zrażają; bo ten, co tak rozumiał kontrasty życia, i sam też pewnie od nich nie był wolny. Otóż, niektórzy krytycy, kto wie czy nie grzeszą zbytkiem konsekwentności, gdy do ocenienia niektórych drama-

tów Szekspira stosują takie tylko poglądy, jakie ze zbiorowego rozpatrzenia się w jego utworach zaczerpnęli. Sam nawet Gervinus, tak pilny krytyk, tak przenikliwy, tak rozmiłowany w swoim przedmiocie, głębiéj może byłby wniknął w znaczenie i wartość „Zimowéj powieści“, jako dramatu, gdyby rozbiór estetyczny mniéj zależnym chciał był uczynić od teoretycznego zapatrywania się na twórczą działalność Szekspira. Mniejsza o to, czy charaktery, czy poglądy na życie, czy motywa etyczne w większym lub mniejszym stopniu przypadają do miary powziętych o dramatyce Szekspira pojęć; dosyć tego że dramat sam w sobie jest oryginalny, śmiały, zajmujący w wysokim stopniu i tchnący prawdą życia. A co do śmiałości planu i wykonania, przyda się tu może na zakończenie ta uwaga, że w dramatycznéj poezyi większe zapewnia powodzenie dojrzałość talentu, doświadczenie i znajomość życia, życiem zdobyta, jak samo natchnienie i żywość wyobraźni. Trzeba było całkiem nad sztuką zapanować, trzeba było nieomylnie pewnym być siebie, żeby się odważyć na tak niespodziewane, jak w Zimowéj powieści, rozszerzenie a raczéj przekroczenie szranków właściwych dramatycznéj kompozycyi; wytrawny tylko mistrz mógł szczęśliwie wywiązać się ze zadania, któremu by początkujący poeta, przy największych zdolnościach, z pewnością sprostać nie zdołał.

Za pobudkę do przełożenia Zimowéj powieści na język polski posłużył głównie domniemany związek treści téj sztuki z wydarzeniem do historyi naszéj odnoszącem się. Obok tego jednak powodu i ten da się przytoczyć, że rozbudzona w tych czasach ciekawość publiczności naszéj do utworów Szekspira zachęcić może do poznania nie tylko tych dramatów, które najczęściéj na scenach europejskich przedstawiane bywają, ale i tych, które, acz mniéj znane, posługują do wielostronnego rozpatrzenia się w bogactwie środków i zasobów znakomitego wieszcza. Trudno wróżyć, czy Zimowa Powieść ukaże się kiedy na naszéj scenie; ale, gdyby to kiedy mogło nastąpić, pewnie dla naszych talentów scenicznych piękne by się w téj sztuce odkryło pole popisu. Role Hermiony, Pauliny, Perdity, równie jak Leontesa, Autolika, Florycela i innych, warte są rozumnéj interpretacyi, i sowicie wynagrodzić mogą trud łożony na dokładne przejęcie się niemi.

Nie wiele pozostaje do powiedzenia o samym przekładzie. Tekstu dostarczyły dwa wydania: jedno Bell'a (w Londynie 1786) z przypiskami Johnson'a i Steevens'a, drugie nowsze (1844) z przypiskami Hazlitt'a; radzono się także przekładów Ortleppa i Franciszka Hugo. Nie zdawało się niezbędnie potrzebnem przeplatać, jak w tekscie, prozę wierszem nierymowym. Prostota składni angielskiéj zmuszała niemal Szekspira do użycia miary tonicznéj, tam gdzie wypadało mu podnieść dykcyę do nastroju mowy obrazowéj lub patetycznéj. Nasza proza swobodna i bardzo wyrobiona, zdolna do wielkiéj rozmaitości tonów, wystarczyć by powinna, przynajmniéj w dramatach mięszanego charakteru, do oddania różnych stylów, bez pomocy owych luźnych wierszy, które, nie nagradzając dostateczną rytmiką utrudnionego szyku wyrazów, nie zawsze dobréj deklamacyi sprzyjają.

Z natury rzeczy wypadało podzielić ten dramat na dwie części, z których pierwsza mieści w sobie ośm scen, czyli zmian, a druga sześć. Podział na pięć aktów uskuteczniony został, jak się zdaje, przez późniejszych wydawców. Pierwsze znane wydanie téj sztuki ma być z r. 1623, kiedy Szekspir już nie żył.

## Wyjątki z dzieła pana Caro.

### I. 1370:

Pierwszą żoną Ziemowita III. księcia mazowieckiego, była Eufemia, córka Mikołaja księcia Opawskiego; miał z nią dwóch synów: Ziemowita i Janusza. Po jéj śmierci, pojął córkę księcia na Ziębnicy (Münsterberg) znakomitéj piękności, która poprzednio była damą dworu na cesarskim dworze niemieckim. Ziemowit kochał ją namiętnie. Krążyły jednak pogłoski potwarcze o niewierności téj pani, przez długi czas do uszów Ziemowita nie dochodzące. Nakoniec, doniosła o tem Ziemowitowi własna siostra księżnéj, księżna Cieszyńska i syn jéj Przemysław, a Ziemowit, dla dobadania się prawdy, kazał żonę zamknąć na zamku w Rawie. Służba księżnéj wyszukanemi mękami do zeznań była przynaglaną, żadnego jednak dowodu winy nie wykryto. Księżna urodziła w więzieniu syna, którego

biedna jakaś kobieta w blizkości Rawy przez trzy lata wychowywała, dopóki go wreszcie bratowa dziecka, księżna Dobrzyńska, Małgorzata, w nocy do siebie nie zabrała. Tymczasem, wzmogła się zazdrość Ziomowita. Obwinionego o uwiedzenie księżnéj, końmi kazał rozszarpać. Wreszcie, uwiedziony radą złych ludzi, niewinną małżonkę na śmierć skazał. Żal i zgryzota szarpały jego duszę. W kilka lat potem księżna Małgorzata przedstawiła mu urodzonego w więzieniu syna, którego uderzony podobieństwem rysów, Ziemowit przyznał, i przeznaczywszy go do stanu duchownego, wyjednał mu probostwo płockie. Opowiadanie to, wyjęte z kroniki Archidyakona Gnieźnieńskiego, posłużyło Szekspirowi za osnowę dramatu *Winter's Tale.* Trudno mniemać, żeby Szekspirowi znaną była niedrukowana jeszcze Archidyakona kronika; wiemy téż, że Szekspir trzymał się na tem samem snadź zdarzeniu osnutéj powieści Green'a: *Dorastus i Faunia;* trzeba jednak przypuścić, że obok powieści Green'a, musiał mieć pod ręką inną jeszcze tego zdarzenia relacyę. Naprowadza na tę myśl ważną w dramacie rolę odgrywająca postać Pauliny, któréj w powieści Green'a nie ma. Dziwiono się, że u Szekspira Czechy są nad morzem: u Green'a jest tak samo. Nawet u Archidyakona Gnieźnieńskiego (Sommersberg. II. str. 152) znajdujemy Morawię nad morzem śródziemnem: Anno quoque eodem Rome in tota fere Italia ac circa mare mediterraneum in terris que Moravie nuncupantur... magna pestilentia seviebat.

*Geschichte Polens von Dr. Jacob Caro. Zweiter Theil. Gotha 1863 str. 413. Anmerkung 2.*

II. 1392.

Około tego czasu udał się Henryk, biskup Płocki, brat przyrodni książąt Mazowieckich, do komturów Balgi i Chrystburgu, przekładając im, że ma do przedstawienia propozycye, do trwałego pokoju z Polską i Litwą doprowadzić mogące, i prosił, będąc dobrze przez komturów przyjęty, żeby mógł się widzieć z Witoldem (znajdującym się wtedy w zamku Ritterswerder) dla bliższego z nim porozumienia się. Biskup ten mający wtedy niespełna 22 lata, urodził się na bohatera romantycznéj powieści. Był on synem słynnéj z piękności i nie-

szczęśliwego losu księżny Mazowieckiéj, która w więzieniu śmierć poniosła, jako ofiara zazdrości męża, obudzonéj wzniecenemi co do jéj wierności podejrzeniami. W więzieniu urodzony syn, którego dziwne przygody już poprzednio były opisane, przeznaczony następnie do stanu duchownego, w 10ciu latach życia otrzymał dochody probostwa Płockiego, a wkrótce potem Łęczyckiego. Następnie, postarali się bracia jego Ziemowit i Janusz o biskupstwo Płockie dla niego; jakoż w roku 1392 używał już tytułu biskupa, chociaż nie był jeszcze konsekrowany. Światowo usposobiony umysł jego więcéj go skłaniał do dyplomacyi jak do rządu kościelnego; sam nawet dwuznaczny charakter przedsięwziętych rokowań mógł go pociągać. Po to go bowiem król Władysław posłał, żeby nakłonił Witolda do powrotu do ojczyzny i do pogodzenia się z nim, za co mu król obiecywał godność wielkoksiążęcą i posiadanie księstw przypadających mu z działu spadkowego. Młody dyplomata znalazł Witolda dobrze usposobionym do przyjęcia jego propozycyi, już bowiem Witold zmiarkował, że zakon nie miał zamiaru dla niego, jak to się mówi, kasztanów z ognia wyciągać. Przysłał mu projekt, a całe rokowanie w największéj zachowano tajemnicy. Kilkotygodniowy pobyt Henryka w Ritterswerder łatwo usprawiedliwiały rodzinne stosunki, które nowym związkiem wzmocnić się miały. Brat przyrodni Henryka Janusz, ożeniony był z siostrą Witolda, Danutą Anną; młodemu zaś dyplomacie bardzo w oko wpadła druga siostra Witolda, Ryngałła; wkrótce téż z nią się ożenił, w nadziei na wyjednać się następnie mającą dyspensę. Podwójnem powodzeniem uszczęśliwiony, wyjechał Henryk bez przeszkody do Suraża. Wystawność niezwykłego wesela przykryła polityczną intrygę; Witold zaś, żeby tem więcéj ubezpieczyć zdradzonych rycerzy, przedsięwziął jeszcze dwie wyprawy, jednę na Miodniki, drugą na Lidę.

*Przypisek 2.* W drugiéj części, na str. 413 podaną była wiadomość o urodzeniu Henryka, a zarazem wskazano, iż przygody te stanowią treść dramatu Szekspira *Winter's Tale.* Bliższe rozpatrzenie się w szczegółach prowadzi do wniosku, że cała budowa dramatu spoczywa na historycznym gruncie. Wprawdzie w dramacie nie syn rodzi się w więzieniu, ale córka, Perdita. Za to Henryka przypomina jéj kochanek Flo-

rycel, który, nie bez pewnéj analogii z Henrykiem, sięgającym po zabronione dla biskupa związki, zapala się nieodpowiednią dla królewskiego syna miłością ku pasterce. Może i w samym dźwięku imienia Florycel da się upatrzyć reminiscencya Płocka (Heinrich von Plotzeke). Jakkolwiekbądź, prawdopodobieństwo z pewnością graniczące pozwala wskazać drogi, któremi wiadomość o tych wypadkach doszła do Anglii. Właśnie w tych czasach przybywali do Prus, w zamiarze uczestniczenia w walkach z Litwą, znakomici w dziejach Anglii rycerze, mianowicie znajdował się w Prusach r. 1390 i 1392 Henryk Derby, syn Jana Gent, księcia Lancaster, późniejszy Henryk IV, król angielski, (zob. Wigand. przyp. 1881), Wilhelm Douglas z Nyddisdale, który też w Prusach zginął (tamże, przyp. 1899) wreszcie, jeden z rodu Percy, według domysłu Hirsch'a (tamże przy. 1915) nie Henryk Percy, ale „Master Thomas Percy". Temu ostatniemu mógł być Henryk biskup Płocki (Florycel) osobiście znanym, bo, według wyraźnego świadectwa Wiganda z Marburga, Percy należał do gości Zakonu, których Witold za Szeszuppę wysyłał, a nadto, należał do wyprawy Marszałka Engelharda Rabe na Suraż, gdzie Henryka pojmać zamierzano. Wiadomo jak się Szekspir zagłębiał w szczegółową historyę tych czasów. Może też i Szekspir i Greene (twórca powieści Dorastus i Faunia) mieli przed oczami jaką balladę o pruskich wyprawach króla Henryka.

*Gesch. Polens von Dr. Jacob Caro. Dritter Theil. S. 107.*

## III. 1388.

Nie można inaczéj mniemać, tylko, że opisana wyżéj scena, przedstawiająca magnata odszczekującego pod ławą potwarczo oskarżenie, (u Długosza pod r. 1388 wyrok wydany w Wiślicy na Gniewosza z Dalewic, fałszywego oskarżyciela Jadwigi), jest mitycznem upostaciowaniem formuły prawnéj, przechowanéj w Statutach Wiślickich. W ogólności, możnaby dowieść, że poufne stosunki Jadwigi, Wilhelma, Jagiełły, Witolda, biskupa Płockiego Henryka, Ryngałły i innych siòstr Witolda i t. d. nacechowane niezwykłemi wydarzeniami, posłużyły za tło do obszernego cyklu zmyśleń poetyckich, w których, bądź wprost bądź pośrednio, odbijają się owe stosunki i po-

stacie w różnych przetworzeniach. I tak np. dowiódłszy, jak sądzę, z pewną oczywistością, że opowiadanie z którego powstała Zimowa Powieść Szekspira, co do treści swojéj pochodzi z tego samego okresu rodzinnych tradycyi, uważam nadto za rzecz więcéj jak prawdopodobną, że scena sądu, który miał się odbyć w Wiślicy, podała myśl do podobnéj sceny w trzecim akcie wspomnionego dramatu, pozostawiając przytem do rozstrzygnienia, czy przypadkiem i w imieniu Hermiony nie zachodzi taka sama reminiscencya imienia Hedwigi, jakąśmy już co do imion Płock i Florycel przypuszczalnie upatrywali. W każdym razie, należy zauważyć, że podania o pożyciu małżeńskiem królewskiéj pary przechowały się nie w samem tylko dziele Długosza, jakkolwiek nie większy przez to pozyskały stopień wiarogodności. Znajduje się bowiem wzmianka o tém, dwoma pokoleniami przedzielona i zapewne na podstawie ustnego podania, ale nie bez psychologicznego podobieństwa do prawdy spisana, w tak nazwanéj dawniejszéj kronice Wielkich Mistrzów (zob. Script. rer. Pruss. III. p. 609. Toeppen, Einl. p. 536)

*Gesch. Polens von Dr. Jacob Caro Dritter Theil § 648*

stacie w różnych przeistoczeniach. I tak np. dowiedziemy, jak sądzę, z pewną bezpiecznością, że opowiadanie z którego powstała Zimorowa Dumka Czeladźna, co do treści swojej pochodzi z tego samego, co i ta dołączona tradycyi, uważam nadto za rzecz więcéj jak prawdopodobną, że owa scena, który miał się odbyć w Wiślicy, podała myśl do podobnéj sceny, w trzecim akcie wspomnianego dramatu, przedstawiającéj przystęp do rozstrzygnienia sprawy przez [illegible] i w drugim Hermiony nie zachodzi taka sama przemilczenia imienia Hedwigi, jakoby już co do imion Płaski i Florya [illegible] żadnéj wątpliwości. W każdym razie, należy zauważyć, że sąd [illegible] z królewskim królewskiéj parą przedstawiony, że [illegible] w którym [illegible] dzieło Długosza, jakkolwiek nie mając [illegible] stopnia wiarogodności. Szczegóły [illegible] wzmiankowanym, [illegible] i dokładnie przedstawione i [illegible] dane, ale nie chce [illegible] do [illegible] opisane w takim [illegible] W [illegible] Cod. Sanok. ter. Prag. [illegible] K[illegible]

Gesch. Polens von [illegible]

# Część Pierwsza.

# OSOBY.

LEONTES, król Sycylii (30 lat)
POLIXEN, król Bohemii (30 lat)
MAMILIUS, syn Leonta (8 lat)
KAMILLO (36 lat)
ANTYGON
KLEOMEN
DYON
} dworzanie króla Sycylii
ARCHIDAM, dworzanin króla Bohemii
DOZORCA więzienia
MARYNARZ
STARY pasterz (60 lat)
GAWEŁ (Clown) syn jego (20 lat)
HERMIONA, żona Leonta (24 lata)
PAULINA, żona Antygona (28 lat)
EMILIA
DWORZANIE
DAMY dworskie
URZĘDNICY
SŁUŻBA.

Siedm piewszych scen w Sycylii, ósma na wybrzeżach Bohemii.

# AKT I.

## Scena I.

Przedpokój w pałacu Leonta.

Wchodzą *Kamillo* i *Archidam*.

*Archidam.*

Gdyby ci się kiedy zdarzyło, Kamillo, zwiedzić Bohemię z okazyi takiejże służby, jaką jest ta, co mię tu teraz na nogach trzyma, zobaczyłbyś, jak już mówiłem, wielką rożnicę między naszą Bohemią a waszą Sycylią.

*Kamillo.*

Mniemam, że król Sycylii ma zamiar przyszłego lata odpłacić się Bohemii słusznie należnemi odwiedzinami.

*Archidam.*

A jeżeli co do przyjęcia będziemy musieli się powstydzić, to przynajmniéj uczucia nas uniewinnią; bo, doprawdy—

*Kamillo.*

Proszę cię —

*Archidam.*

Doprawdy, mówię z całą swobodą przekonania; niepodobna nam z taką wspaniałością — z tak rzadkiem — już nie wiem jak się wyrazić. Damy wam chyba usypiające napoje, żeby wasze zmysły, nie mogące ocenić naszych niedostatków, gdy pochwalić nie zdolają, przynajmniéj obwinić nas nie mogły.

*Kamillo.*

Zbyt wysoką opłacasz ceną to, co jest ofiarowane po prostu.

*Archidam.*

Wierzaj mi, mówię tak jak mię pojęcie naucza i jak uczciwość mówić mi każe.

*Kamillo.*

Sycylia nigdy nie może być dostatecznie uprzejmą dla Bohemii. Królowie wychowywali się razem w dziecinnym wieku i mjędzy niemi splotło się przywiązanie, które tylko coraz bardziój rozrastać się może. Odkąd dojrzałość majestatu i obowiązki królewskie rozłączyły ich towarzystwo, stosunki już nie osobiste wprawdzie, ale pośrednie, po królewsku były podtrzymywane wymianą podarunków, listów, przyjacielskich poselstw; tak, że, choć oddaleni, zdawali się być razem, Jakby ponad przestrzenią podawali sobie ręce i posyłali uściśnienia z dwóch odmiennych stron świata. Oby niebo przedłużylo ich przywiązanie!

*Archidam.*

Sądzę że żaden powód, złość żadna osłabić je nie zdoła Niewypowiedzianą pociechę macie z młodego księcia Mamiliusa; jestto panicz najbardziéj obiecujący ze wszystkich jakich znałem.

*Kamillo.*

Zgadzam się z tobą co do nadziei jakie obudza. Jestto dzielny chłopczyk; taki, co prawdziwie ożywia nas i odświeża stare serca: ci, co już przed jego urodzeniem o kulach chodzili pragną pożyć jeszcze, żeby go widzieć mężem.

*Archidam.*

A gdyby nie to, czyż radzi byliby umrzeć?

*Kamillo.*

Tak, gdyby nie mieli innego powodu dla którego by żyć pragnęli.

*Archidam.*

To gdyby król nie miał syna, powinniby pragnąć chodzić sobie o kulach, pókiby się królowi syn nie urodził.

## Scena II.

Sala w pałacu Leonta.

Wchodzą: *Leontes*, *Hermiona*, *Mamilius*, *Polixen* z orszakiem

*Polixen.*

Dziewięć odmian wodnéj planety (jak liczą pasterze) już upłynęło, odkąd opuściliśmy nasz tron nie obciążając się niczem: równie długi czas, mój bracie, mógłby być napełniony naszemi dziękami, a jednak musielibyśmy ztąd odjechać z wiecznym długiem. A zatem, jak cyfra stojąca w dobrem miejscu, przez jedno: *dzięki ci składam*, mnożę tysiące liczb co jéj towarzyszą.

*Leontes.*

Wstrzymaj się nieco z podziękowaniem; spłacisz je jak będziesz odjeżdżał.

*Polixen.*

Panie, to nastąpi jutro. Dręczony jestem obawą tego, co może się przytrafić lub rozwinąć w czasie mojéj nieobecności. Oby nie zawiały jakie burzliwe wiatry w mojéj stronie, co by zmusiły wyrzec, że przewidywania były zanadto prawdziwe. Zresztą, tak długo tu naprzykrzałem się moją bytnością, że wasza królewska mość musi się czuć zmęczoną.

*Leontes.*

Tyle wytrwały jestem, mój bracie, że nie łatwo potrafisz mię zmęczyć.

*Polixen.*

Nie mogę zostać dłużéj.

*Leontes.*

Jeszcze tydzień.

*Polixen.*

Stanowczo jutro.

*Leontes.*

No, to rozdziel czas na dwoje, ale już nie sprzeciwiaj się.

*Polixen.*

Błagam cię, przestań tak nalegać. Żadna przekonywająca mowa, żadna inna na świecie, nie mogłaby mię tak zniewolić jak twoja. Skłoniłaby mię natychmiast, gdyby szło o jaką potrzebę twoją, choćbym miał pilne pobudki do odmówienia.

Sprawy moje znaglają mię do powrotu i tamując go, samą miłością swoją przykrość byś mi zadał, a pobyt mój dla ciebie samego byłby ciężarem i kłopotem. Chcąc uniknąć jednego i drugiego, żegnam cię, mój bracie.

*Leontes.*

Milczysz, królowo moja? Ty teraz przemów.

*Hermiona.*

Myślałam, panie, zachować się cicho, dopóki byś nie wydobył z niego przysięgi że zostanie. Zanadto chłodno, panie, na niego nalegasz. Powiedz mu, że jesteś pewny, że wszystko dobrze idzie w Bohemii: tę uspokajającą wiadomość wczoraj otrzymano; powiedz mu to, a będzie pobity w najlepszym swoim szańcu.

*Leontes.*

Dobrze mówisz, Hermiono.

*Hermiona,*

Gdyby mówił że tęskni do syna, to byłby silny powód. Niech się więc przyzna do tego i niech jedzie. Niech przysięgnie że o to mu idzie, a nie zostanie; kądzielami go wypędzimy. *(Do Polixena)* A jednak sprobuję, wyjednać, żebyś nam użyczył tydzień jeden swojéj bytności. Jak będziesz miał mojego małżonka w Bohemii, dam ci, panie, pozwolenie przetrzymania go cały miesiąc dłużéj nad czas zakreślony do jego powrotu: a jednak, zapewniam cię, Leoncie, ani o jedną sekundę nie skracam wymiaru mojéj miłości, takiéj, jaką tylko żona może mieć dla męża. Zostaniesz?

*Polixen.*

Nie, pani.

*Hermiona.*

Ale nie, zostaniesz.

*Polixen.*

Nie mogę, doprawdy.

*Hermiona.*

Doprawdy! Zbywasz mię bardzo słabą odmową. Ale na próżno! Choćbyś przysięgami swemi gwiazdy wszystkie poruszył, powiem ci jeszcze: panie, nie wolno wyjechać! Doprawdy nie pojedziesz. Jak kobieta powie *doprawdy*, to niemniéj znaczy jak słowo mężczyzny. Co? chcesz jeszcze jechać? Zmusisz mię, panie, żebym cię zatrzymała jak jeńca, nie jak gościa.

Takim sposobem zapłacisz wykup nim wyjedziesz, a oszczędzisz sobie podziękowań. Jeńcem? czy gościem? Za to groźne *doprawdy* musisz być jednym lub drugim.

*Polixen.*

W takim razie, pani, wolę być gościem. Żeby zostać jeńcem, musiałbym wprzódy panią obrazić, a to by mi jeszcze trudniej przyszło, niż tobie, pani, ukarać winnego.

*Hermiona.*

Więc już nie jestem stróżem więziennym, tylko gospodynią radą gościowi. To już dobrze! Musisz teraz, panie, odpowiedzieć, jakie to figle płataliście razem z moim mężem, kiedyście byli dziećmi. Nielada swywolniki!

*Polixen.*

Byli to, piękna królowo, dwaj chłopcy, którym się zdawało, 'że nic nie ma innego przed niemi, tylko dnie podobne do ubiegłych. Zdawało im się że wiecznie będą malcami.

*Hermiona.*

Czy wasza królewska mość nie była większym łotrem z dwojga?

*Polixen.*

Byliśmy jak bliźnie jagniątka, co sobie skakały na słońcu becząc jedno do drugiego. Co między nami było to były niewinne dziecińska; nie znaliśmy nauki występku i nie wyobrażaliśmy sobie żeby kto ją znał. Gdybyśmy tak dłużéj żyli gdyby nasze słabe umysły nigdy się mocniéj nie podnieciły pod wpływem krwi gorętszéj, moglibyśmy śmiało odpowiedzieć niebu: *niewinny!* po usunięciu zarzutu winy pierworodnéj.

*Hermiona.*

Ztego domyślam się, że późniéj były grzeszki.

*Polixen.*

O! szlachetna pani, późniéj dopiero pokusy dla nas nastały: bo wtedy kiedyśmy się jeszcze nie opierzyli, żona moja była małą dziewczynką, i twoich, pani, zalet nie spotkał jeszcze wzrok towarzysza moich zabaw dziecinnych.

*Hermiona.*

Przez litość! Nie wyprowadzajże z tego żadnych wniosków; chyba byś chciał powiedzieć, że twoja królowa i ja jesteśmy szatani. Mów jednak daléj. Odpowiadamy za grzechy, któreście z naszego powodu popełnili, jeżeli tylko od nas się

zaczęło i z nami trwało, — i jeżeli wam się noga nie pośliznęła z innemi.

*Leontes (do Hermiony).*

Czy zjednany nakoniec?

*Hermiona.*

Zostanie, panie mój.

*Leontes.*

Na moją prośbę nie chciał. Hermiono najdroższa, nigdy lepiéj nie użyłaś mowy.

*Hemiona.*

Nigdy?

*Leontes.*

Nigdy, chyba raz tylko.

*Hermiona.*

Co? więc dwa razy dobrze mówiłam. Kiedyż to było pierwszy raz? Powiedz mi, proszę cię: napaś mię pochwałą, utucz jak kapłona. Dobry czyn, ginący w zapomnieniu, gubi tysiące innych, co by po nim nastały. Pochwały, to nasze myto. Za słodki pocałunek prędzéj tysiąc staj przebiegniemy, niż pod ostrogą ledwie jednę, jak do więzienia. Ostatnią moją dobrą sprawą było, żem uprosiła go zostać. Jakaż była pierwsza? Bo przecież była starsza siostrzyczka, jeżelim dobrze zrozumiała. Oby na imię było jéj Łaska. Raz tylko przedtem przemówiłam dorzecznie. Kiedyż to było? Powiedz! niecierpliwie pragnę słyszeć.

*Leontes.*

No, to było wtedy, kiedy upłynęły trzy zgryźliwe miesiące, co mię na śmierć zakwasiły, zanim mogłem wyjednać, żebyś mi podała białą rączkę i miłość wyznała. Powiedziałaś mi wtedy: „jestem twoją na zawsze".

*Hermiona.*

To *łaska* doprawdy. Patrzcie więc, dwa razy dorzecznie przemówiłam. Pierwszy raz zjednałam sobie królewskiego małżonka na zawsze, drugi raz przyjaciela, choć na krótko.

*Leontes (na stronie).*

Za gorąco! za gorąco! Takie pomięszanie uczuć wygląda na pomięszanie osób. Mam jakby *tremor cordis*; skacze mi serce, ale nie z radości, nie z radości. Taka uprzejmość mogłaby być wprawdzie ofiarowana z odkrytą twarzą; mogłaby

nabrać swobody z saméj serdeczności, z dobroci, z hojności uczuć, i przystałaby temu, kto się z nią wynurza; mogłoby to być; zgadzam się na to. Ale to ściskanie rąk, splatanie palców, jak oni teraz robią; te charakterystyczne śmiechy, jak przed zwierciadłem; przytłumione westchnienia, jak zagnanego jelenia! O! taka uprzejmość nie idzie mi ani do serca, ani do czoła. Mamilius, — jestżeś mojem dzieckiem?

*Mamilius.*

Tak, mój dobry panie.

*Leontes.*

Doprawdy? A! to mój kogutek! Co? z zawalanym noskiem. Powiadają że podobny do mojego. Chodź, kapitanie, trzymaj się ostro; no, nie ostro, ale porządnie, kapitanie. Bo to i byczek i jałówka i cielę mają ostre rogi. *(Patrząc na Hermionę i Polixena).* Ciągle przebierają palcami jak pensyonarki! (*Do Mamiliusa*) No, bezczelne cielątko! jestżeś *mojem* cielątkiem?

*Mamilius.*

Dobrze pani, jeżeli chcesz.

*Leontes.*

Brak ci jeszcze czaszki kanciastéj i przedłużnéj, żeby być zupełnie podobnym do mnie. Powiadają jednak, że jesteśmy podobni do siebie jak dwa jajka. Kobiety tak mówią, byleby coś mówić. Ale niech sobie będą fałszywe jak farbierskie czernidło, jak wiatr, jak woda; fałszywe jak kości do grania, których używa człowiek nie robiący różnicy między swojem a cudzem; nic to nie pomoże, prawdę mówią, że to dziecko jest podobne do mnie. No, mój paziku, spojrzyj na mnie tem czarującem oczkiem. Miły łotrzyku! mój ulubiony! mój pieszczoszku! — mogłażby twoja matka? mogłożby to być? — Wyobraźnio! twoje widzenia trafiają w serce; podobnemi czynisz rzeczy niemożliwe; porozumiewasz się ze snami — (jakże to być może?), — z tem co jest nieujęte współdziałasz, — i sprzymierzasz się z nicością! A jednak i to może być wiarogodne, że się splatasz z czemś rzeczywistem; właśnie tak jest teraz; tak jest nieodbicie; czuję to, czuję w zmąconym mózgu, w twardniejącéj skroni.

*Polixen.*

Cóż to królowi Sycylii?

*Hermiona.*

Zdaje się nieco wzruszony.

*Polixen.*

Co tobie, panie? Czego doznajesz? Jak się czujesz, najukochańszy bracie?

*Hermiona.*

Zdajesz się mieć zafrasowane czoło. Czy doznajesz jakiego wzruszenia, panie?

*Leontes.*

Nie, na prawdę. Jak też czasem natura zdradza swoją słabość i swoją czułość, narażając się na pośmiewisko stwardniałych serc! Patrząc na rysy twarzy mojego chłopca, zdawało mi się że młodnieję o dwadzieścia trzy lata; widziałem siebie bez majtek, w zielonéj aksamitnéj sukience i ze szpadką okrągło zakończoną, z obawy żeby nie ukąsiła swojego pana i nie stała mu się zgubną, jak często zgubnemi bywają ozdoby. Jakże też, wyobrażam sobie, podobny byłem do téj pestki, do tej dyni małéj, do tego szlachcica! *(Do Mamilusa)* Mój poczciwy przyjacielu, wziąłbyś plewy za ziarno?

*Mamilius.*

Nie, panie, ja bym się bił.

*Leontes.*

Biłbyś się? dobrze; szczęśliwy los niech będzie twoim udziałem! Bracie mój, czy tak przepadasz za swoim chłopcem jak ja za moim?

*Polixen.*

U mnie w domu, mój panie, on jest całem mojém zajęciem, moją radością, moją troską. To mój sprzymierzeniec przysięgły, mój nieprzyjaciel, mój dworak, mój żołnierz, mój minister. Wszystkiem jest. Dzień lipcowy tak prędko mi z nim schodzi jak grudniowy, a zmiennością fantazyi dziecinnych on mię leczy z ciężkich myśli, od których krew gęstnieje.

*Leontes.*

Taką samą służbę ten giermek u mnie pełni. Pójdziemy się przejść obydwaj, pozostawiając tobie, panie, poważniejszą zająć się przechadzką. Hermiono, w przyjęciu naszego brata okażesz o ile nas kochasz. Niech to co jest najdroższem w Sycylii będzie taniem dla niego. Po tobie i moim młodym korsarzu on jest najbliższym mojego serca.

*Hermiona.*

Jeżeli nas, panie, zechcesz szukać, będziemy ci służyć w ogrodzie. Mamyż tam czekać na ciebie?

*Leontes.*

Kierujcie się według upodobania; znajdę was bylebyście byli pod niebem. Mam ryby łowić, chociaż nie widać jeszcze jak wędę zarzucam. Idźcie, idźcie! (Na stronie podpatrując Hermionę). Jak nadstawia dziób i łapę! Jak się uzbraja w całą śmiałość, jaką miewa niewierna żona z pobłażającym mężem!

(Odchodzi Polixen i Hermiona z orszakiem).

Już poszli! w gęstwinę, po kolana! o! wyżéj uszów, wyżéj głowy, a z rogami. Idź, baw się chłopcze, baw się. Twoja matka bawi się, — i ja się także bawię, ale w niezaszczytną grę, gdzie będę wygwizdany do grobu. Pogardę i pośmiewisko będę miał za podzwonne. Idź, baw się chłopcze, baw się. Bywali już, jeżeli się nie mylę, i przedtem zwiedzeni mężowie. Nie jeden w téj właśnie chwili rękę żonie podaje, nie domyślając się że w jego nieobecności pan Śmieszek, jego sąsiad, był panem w jego dobrach, bez względu na szluzy i tamy. Tak, to pociecha mówić sobie, że inni też ludzie mają wrota co się otwierały tak jak moje, pomimo ich woli. Gdyby wszyscy rozpaczali, co mają niesforne żony, dziesiąta część rodu ludzkiego musiałaby się powiesić. Na to niema lekarstwa. Jest jakaś planeta przewrotna, co się wywiera wszędzie gdzie przeważa, a przeważną jest, wierzcie mi, ze wschodu na zachód, z północy na południe. W konkluzyi: nie ma barykady na takie rzeczy; wejdzie i wyjdzie nieprzyjaciel z bagażem i bronią: tysiące z pomiędzy nas cierpi na to a nie czuje (Do Mamiliusza) Jak ty wyglądasz, mój chłopcze?

*Mamilius*

Tak jak ojciec; wszyscy mówią.

*Leontes.*

Ha! zawsze to pociecha. (Spostrzega Kamilla) Co widzę? Kamillo tutaj?

*Kamillo.*

Jestem dobry panie.

*Leontes.*

Idź, pobaw się, Mamilius. Tyś uczciwy. (Mamilius odchodzi). Kamillo, ten wielki pan ma zostać dłużej.

*Kamillo.*

Dużo to trudu kosztowało kazać mu zarzucić kotwicę. Coś ją, panie zapuszczał, zawracała ku domowi.

*Leontes.*

Uważałeś?

*Kamillo.*

Niechciał zostać na twoją prośbę, panie; miał pilniejsze interesa.

*Leontes.*

Spostrzegłeś? — O! już są koło mnie tacy, co mruczą i szepczą: „król Sycylii jest taki, owaki“. Nie prędko ja to wszystko przełknę. Jakże się to stało, Kamillo że on został?

*Kamillo.*

Na prośbę naszéj dobréj pani.

*Leontes.*

Na prośbę królowéj, niech tak będzie i dobréj, powinnoby być, ale nie jest; jak rzeczy stoją. Czy pochwyciła to inna jaka pojętna czaszka, prócz twojéj? Bo ty masz dowcip bardziéj gębczasty; ty więcéj łapiesz jak tamte drewniane czaszki. Nikt nie uważał, nieprawdaż, chyba kto z tych wyborowych głowaczów? Podrzędne figury może nic w téj historyi nie widziały: mów no!

*Kamillo.*

W téj historyi? Ja myślę, panie, że prawie musieli zrozumieć że król Bohemii zostaje.

*Leontes*

Co?

*Kamillo.*

Że zostaje tu dłużéj.

*Leontes.*

Dobrze; a dla czego?

*Kamillo.*

Żeby dogodzić waszéj królewskiéj mości i zadowolnić życzenia naszéj najłaskawszéj pani.

*Leontes.*

Zadowolnić — życzenia twojéj pani? Zadowolnić? Dosyć tego. Powierzałem ci, Kamillo, rzeczy, które miałem najbardziéj na sercu, zarówno jak tajemnice izby radnéj; jak ksiądz oczyszczałeś mi duszę i odchodziłem od ciebie jak nawrócony

pokutnik: ale zawiodłem się na twojéj prawości; zawiodłem się na tem, co mi się zdawało być prawością.

*Kamillo.*

Niech Bóg broni mój panie!

*Leontes.*

Dłużéj na tobie polegać. — nie jesteś uczciwy, albo jeżeliś się skłaniał ku uczciwości, jesteś tchórz: podstawiasz uczciwości nogę, żeby nie szła prostą drogą. Mam cię uważać za sługę który się wszczepił w moje zaufanie i odpłaca mi niedbalstwem albo jak głupca, który widzi że w grze z oszustami zabierają mi najlepsze skarby, a on na wszystko patrzy jak na żarty.

*Kamillo.*

Miłościwy panie, mogę być niedbałym, nierozsądnym lub nieśmiałym; od tych wad nikt nie jest tak dalece wolnym, żeby kiedykolwiek jego niedbalstwo, nierozsądek lub lękliwość nie wyszły na wierzch. Jeżeli kiedykolwiek w twoich sprawach panie, byłem rozmyślnie niedbałym, było to głupstwem z mojéj strony, jeżeli umyślnie udawałem głupiego, to chyba że zaniedbałem dobrze rozważyć skutki mojego postępowania; jeżeli kiedy obawiałem się spełnić jaki czyn wątpliwego skutku, a którego spełnienie głośno rozbijałoby się o niewykonalność, była to obawa, jakiéj często i najmędrsi mogą doznawać. Takie są, miłościwy panie, dopuszczalne niedostatki, od których największa uczciwość może nie być wolną. Ale błagam cię, panie, bądź ze mną otwartym; daj mi poznać moje przewinienia w ich właściwéj postaci; jeżeli wtedy wyprę się ich, to dla tego że one obce mi są zupełnie.

*Leontes.*

Nie widziałżeś, Kamillo, (ale widziałeś bez wątpienia bo inaczéj szkło twojéj lornetki byłoby gęstszem od rogu), albo czyś nie słyszał, (bo w obec tak jawnego widoku pogłoska nie może być niemą), — lub czyś pomyślał, (bo pomyślenie nie ma miejsca w człowieku, który wcale nie myśli), że moja żona jest niewierną? Jeżeli to przyznasz, (a przyznać musisz, chybabyś zaprzeczył że masz oczy, uszy i myśl), wtedy powiedz że moja żona jest drewnianym meblem, że zasługuje na taką niepoczesną nazwę, jak lada dziewka co wyprzedza zaręczyny: powiedz mi to i wytłomacz.

*Kamillo.*

Nigdybym nie pozwolił, żeby w mojéj obecności tak czerniono moją najjaśniejszą panią, bez natychmiastowéj pomsty. Przekląłbym moje serce, gdyby wyszło z niego coś tak niegodnego, jak to com słyszał. Powtórzyć to byłoby grzechem równie ciężkim, jak sam grzech zarzucany, gdyby był istotnym.

*Leontes.*

A może to nic nie znaczy szeptać z sobą? zbliżać się do siebie policzkami, nosem? całować usta? przerywać rozpęd śmiechu westchnieniem? (znak niewątpliwy kruszącéj się cnoty) dotykać się nogami? przyciskać się do kątów? pragnąć żeby zegar pospieszył, żeby godzina była minutą, południe północą, żeby wszystkich oczy były bielmem osłonięte, prócz ich oczu, ch tylko, żeby ich zbrodnia nie była widzialną? Czy to nic, nie jest? Więc świat cały, ze wszystkiem co w nim jest, jest niczem; więc niebo co nas pokrywa, jest niczem, więc Bohemia jest niczem, moja żona niczem, — i w tych wszystkich inicościach nie ma nic, jeżeli to jest niczem.

*Kamillo.*

Mój dobry panie, wylecz się z tego chorobliwego mniemania i to jak najprędzéj, bo ono jest w najwyższym stopniu niebezpieczne.

*Leontes.*

Niech tak będzie, ale prawdziwe.

*Kamillo.*

Nie, nie, miłościwy panie.

*Leontes.*

Prawdziwe; kłamiesz, kłamiesz. Mówię że kłamiesz, Kamillo, i nienawidzę cię! Nazwij się sam bałwanem, bezmyślnym gburem albo intrygantem dwuznacznym, który jednakowem okiem patrzy na dobre i złe, skłaniając się zarówno do jednego i drugiego. Gdyby wątroba mojéj żony tak była zepsuta jak jéj życie, umarłaby zanim się ten piasek w klepsydrze przesypie.

*Kamillo.*

Któżby był przyczyną?

*Leontes.*

Kto? Ten co ją nosi, jak medal zawieszoną na szyi, król Bohemii, ten co . . . . Gdybym miał przy sobie wiernych służebników, którzyby mieli oczy do strzeżenia mojéj czci, tak

dobrze jak swoich własnych zysków, swoich dogodności, tak by pewnie zrobili, że już by tego więcéj nie było. Tak; a ty, jego, cześnik, ty któregom z niskiéj ławy wywiódł na wzniesienie i zrobił wielmożnym; ty który możesz widzieć, tak dobrze jak niebo widzi ziemię a ziemia widzi niebo, jak dalece jestem skrzywdzony, ty, mógłbyś przyprawić czarę, coby mojemu nieprzyjacielowi przyćmiła powieki; a ten napój kordyałem byłby dla mnie.

*Kamillo.*

Najjaśniejszy panie, mógłbym pewnie to zrobić; mógłbym przygotować napój niegwałtownie działający, ale powolnie, nie mający gwałtownych oznak trucizny. Ale nie mogę uwierzyć w to poszczerbienie czci mojéj pani, tak wysoko szanowanéj.

*Leontes.*

Wiesz, żem cię kochał. Teraz, wątpij o tem co ci mówię, i zgnij nędznie! Czyż możesz przypuścić, żebym ja mógł być tak bezrozumnym, tak pomięszanym, żebym sam sobie gotował podobne zmartwienie? żebym kalał szaty których białość jest snem moim, a bez tego, ciernie, kolce, pokrzywy, żądła będą mojem posłaniem? żebym zgorszeniem zaćmił pochodzenie mojego syna, którego mam za swojego, kocham jak swojego, gdybym nie miał najdojrzalszych do tego powodów? Mógłżebym być człowiekiem tak obłąkanym?

*Kamillo.*

Kiedy muszę tobie wierzyć, panie, — to niech tak będzie! Usunę króla Bohemii, byleby, jak jego już nie będzie, Wasza Królewska Mość raczyła przyjąć napowrót królowę i mieć ją za swoją małżonkę, jak była od początku, choćby tylko przez wzgląd na syna, a nadto, żeby zamknąć usta obmowie na dworach i państwach znanych lub sprzymierzonych.

*Leontes.*

Doradzasz mi sposób postępowania, jaki już sam sobie nakreśliłem. Nie dopuszczę żadnego hańbiącego cześć jéj rozgłosu, żadnego.

*Kamillo.*

Najjaśniejszy panie, idź więc, — i z tak pogodném wejrzeniem, jak przyjaciołom wśród uczty przystoi, zachowuj się z królem Bohemii i z królową. Ja jestem jego cześnikiem; je-

żeli zdrowy napój odemnie otrzyma, nie uważaj mię już za swego sługę.

*Leontes.*

Dosyć na tom. Tak zrób a masz połowę mego serca. Jeżeli tego nie zrobisz, tak jakbyś swoje wyrwał.

*Kamillo.*

Zrobię, panie.

*Leontes.*

Będę udawał przyjaźń, jak mi radzisz (Wychodzi).

*Kamillo.*

(Sam) O! nieszczęśliwa królowo! Ale ja, w jakiem też jestem położeniu! Muszę być zabójcą dobrego Polixena, a powodem przynaglającym ma być posłuszeństwo panu, który wyłamawszy się z pod władzy rozumu, chce żeby wszyscy co od niego zależą, podobnie postępowali. Skoro tak uczynię, oczekuje mię powiększenie zaszczytów. Ach! choćbym tysiąc znalazł przykładów, że wiodło się tym, co się targnęli na prawych królów, nie zrobiłbym tego. A tembardziéj gdy pomniki z miedzi, kamienia lub pergaminu nie dostarczają żadnego podobnego przykładu, gdy czyn taki sama przewrotność odpycha, nic mi innego nie pozostaje, tylko opuścić dwór. Rzecz ta, spełniona czy nie spełniona, jest dla mnie przepaścią. Oby szczęśliwsza gwiazda zapanowała! Otóż i król Bohemii. (Polixen wchodzi).

*Polixen.*

Dziwna rzecz; zdawałoby się, że moje stanowisko tutaj zaczyna się chwiać. Nie mówią do mnie!.... Dzień dobry Kamillo.

*Kamillo.*

Składam moje uszanowanie, najjaśniejszy panie.

*Polixen.*

Co nowego na dworze?

*Kamillo.*

Nic osobliwego panie.

*Polixen.*

Król tak wygląda jak gdyby utracił jaką prowincyę, jakie władztwo drogie jak życie. Dopiero co spotkałem go z pozdrowieniem zwykłem; a on odwracając oczy w inną stronę, z pogardliwym wyrazem ust ucieka odemnie, — i każe mi odgadywać co się to kryje pod tą zmianą postępowania.

*Kamillo.*

Nie śmiem wiedzieć tego, najjaśniejszy panie.

*Polixen.*

Jakto, nie śmiem? Nie! wiesz i nie śmiesz powiedzieć mi wyraźnie. Coś nakształt tego. Bo co do siebie, musisz przecie wiedzieć co wiesz, i nie możesz mówić że nie śmiesz. Dobry Kamillo, twoja pomieszana fizyonomia jest zwierciadłem jakiejś zmiany we mnie: musi się to mnie dotyczyć, kiedy sam się czuję zmieszanym.

*Kamillo.*

Jest jakiś chorobliwy zaród, co kogoś z nas w rozstrój wprowadza; ale nie mogę nazwać choroby, a pochodzi od ciebie, panie, chociaż sam zdrów jesteś.

*Polixen.*

Jakto? choroba pochodzi odemnie? Ach, nie przypisujże mi wzroku bazyliszka. Oczy moje zwracały się na tysiące ludzi, którym dobrze się działo, a nikogo wzrok mój nie zabił. Kamillo, jak jesteś szlachcicem a przytem człowiekiem światłym i doświadczonym (co niemniéj zdobi szachectwo, jak imie przodków, których sława nas zdobi,) błagam cię, błagam cię, jeżeli wiesz co takiego, co wypadałoby mi wiedzieć, nie zamykaj tego w nieświadomem utajeniu.

*Kamillo.*

Nie mogę odpowiedzieć.

*Polixen.*

Choroba pochodząca odemnie, chociaż sam zdrów jestem. Muszę mieć odpowiedź! Słuchaj, Kamillo, zaklinam cię na wszystkie zobowiązania ludzkie zgodne z honorem (a nienajmniéjszym jest ta prośba moja), — oznajmij mi jaką to dostrzegasz okoliczność złowrogą co podpełza ku mnie; powiedz blizka czy daleka; jaki środek uprzedzenia złego, jeżeli jest jaki; a jeżeli nie, jak to spotkać najlepiéj.

*Kamillo.*

Panie powiem ci, kiedyś mię zaklął na honor i sam w cześć twoją wierzę. Uważaj więc panie na moją radę i spełnij ją tak prędko, jak ją wyrazić zdołam; jeżeli nie, ty, panie i ja, możemy oba krzyknąć: zgubione! i dobranoc!

*Polixen.*

Mów, dobry Kamillo.

*Kamillo.*

Naznaczono mi być tym, który cię ma zabić

*Polixen.*

Przez kogo naznaczono?

*Kamillo.*

Przez króla.

*Polixen.*

Za co?

*Kamillo.*

On myśli, owszem przysięga z taką pewnością jakby widział lub służył za pośrednika, że ty panie, w zakazanych jesteś stosunkach z królową.

*Polixen.*

O! gdyby tak było, niechby krew moja najczystsza obróciła się w zarazę, — niechby imie moje powtarzane było w parze z imieniem tego, który najlepszego zdradził! Niechby gdziekolwiek stanę, tchnienie sławy mojéj najświeższéj stało się obmierzłem dla najgrubszych zmysłów! Niechby obecność moja była unikaną i znienawidzoną gorzej od najstraszniejszéj zarazy o jakiéj kto kiedykolwiek słyszał lub czytał.

*Kamillo.*

Daremnie byś panie, odprzysięgał się przez każdą z gwiazd na niebie i wszystkie ich wpływy: tyleby to znaczyło, co rozkazać morzu nie słuchać księżyca; tak niepodobną byłoby rzeczą zburzyć przysięgami lub zachwiać radami budynek jego szaleństwa, którego fundamenta oparły się na jego przekonaniu i trwać będą dopóki ciało jego będzie stało.

*Polixen.*

Z czego to urosło?

*Kamillo.*

Nie wiem, ale tego jestem pewny, że bezpieczniéj jest ustrzedz się tego co narosło, jak badać zkąd to powstało. Jeżeli więc nie obawiasz się, panie, zaufać mojéj uczciwości, któréj tytuły zawarte są w téj skrzynce, którą weźmiesz z sobą panie, jako zakład, to uciekajmy tejże nocy. Sługom twoim szepnę co mają robić, i po dwóch, po trzech, różnemi bramami, wyprowadzę ich z miasta. Co do mnie, oddaję na twoje usługi, panie, mój los, którym tu postradał, wyjawiając ci wszystko. Nie wahaj się, panie, bo, klnę się czcią moich

przodków, wyjawiłem ci prawdę. Gdybyś chciał szukać dowodniejszego przekonania, już ja nie śmiałbym być przy tobie, a nie bardziéj tu, panie, będziesz bezpieczny, jak człowiek skazany na śmierć z ust królewskich, z przysięgą że się wyrok wykona.

*Polixen.*

Wierzę ci; widziałem jego serce na jego twarzy. Podaj mi rękę; bądź mi sternikiem, a miejsce twoje będzie zawsze obok mnie. Okręty moje gotowe, a moi ludzie od dwóch dni oczekują na rozkaz do odpłynięcia. Téj zazdrości przedmiotem jest osoba rzadkich zalet, im jest droższą, tem zazdrość musi być większą; ile zaś sam jest potężny, tyle zazdrość jego musi być gwałtowną; a że, jak mniema, zbezcześcił go człowiek, który się zawsze głosił jego przyjacielem, to i zemsta jego tem zawziętszą być musi. Obawa i na mnie cień swój rzuca. Oby mi wyprawa zamierzona sprzyjała, oby pociechę przyniosła szlachetnéj królowéj, zaplątanéj w jego sieci, chociaż niczem nie zasłużyła na złośliwe posądzenia. Chodźmy Kamillo! Będę cię szanował jak ojca, jeżeli mnie żywego ztąd wyprowadzisz. Uchodźmy!

*Kamillo.*

Z mocy mojego urzędu rozporządzam kluczami wszystkich bram. Niech wasza królewska mość korzysta z téj naglącéj chwili! Prędzéj, panie, oddalmy się. (Wychodzą)

# AKT II.

## Scena III.

(W pałacu).

Wchodzi *Hermiona*, *Mamilius* i panie z orszaku królowéj.

*Hermiona.*

Weźcie chłopca między siebie: tak mię męczy że mi sił nie starczy.

*Jedna z pań.*

Pójdźmy łaskawy książe. Czy chcesz mię za towarzyszkę do zabawy?

*Mamilius.*

O! nie; nie ciebie pani.

*Pierwsza pani.*

Dla czego, miły książe?

*Mamillius.*

Bo mię za bardzo całujesz i mówisz do mnie, jak gdybym był jeszcze małém dzieckiem. (Do drugiéj) Panią bardziéj kocham.

*Druga pani.*

Dla czego tak, mój książe?

*Mamilius.*

Nie dla tego że masz czarniejsze brwi. A jednak czarne brwi, jak powiadają, lepiéj przystoją niektórym kobietom, byleby nie były za gęste, tylko żeby były w półkole, jak półksiężyc nakreślony piórem.

*Druga pani.*

Kto nauczył cię tego?

*Mamilius.*

Twarze kobiet. (Do pierwszéj) Powiedzże mi, pani, jakiego koloru są twoje brwi?

*Pierwsza pani.*

Sinego.

*Mamilius.*

Żartujesz ze mnie. Widziałem damski nos siny, ale nigdy brwi.

*Druga pani.*

Słuchajno, książe. Kibić dostojnéj matki twojéj widocznie się zaokrągla. Niedługo tak się stanie, że nowemu ślicznemu książątku służyć będziemy, a wtedy bardzo rad będziesz z nami się pobawić, jeżeli tylko my zechcemy.

*Pierwsza pani.*

Od niejakiego czasu nabrała pożądanéj tuszy. Oby jéj niebo sprzyjało!

*Hermiona.*

Jakażto mądra rozmowa was zajmuje. (Do Mamiliusa) Chodź, mój paniczu, gotową już jestem cię słuchać. Siądź tu przy nas, proszę cię i opowiedz nam jaką bajeczkę.

*Mamilius.*

Jakaż ma być, wesoła, czy smutna?

*Hermiona.*

Tak wesoła jak tylko sam chcesz.

*Mamilius.*

Smutna powiastka stosowniejsza w zimie. Znam jednę o nieboszczykach i widmach.

*Hermiona.*

To ją nam opowiedz, mój panie. Chodź tu usiądź sobie. Daléj, staraj się jaknajlepiéj nastraszyć nas widmami; bardzo jesteś w tem biegły.

*Mamilius.*

Był jeden człowiek.......

*Hermiona.*

Ale chodź-no, usiądź. Teraz mów daléj.

*Mamilius.*

Który mieszkał obok cmentarza.... Będę mówił cichutko, żeby mnie tam świeszcze nie słyszały.

*Hermiona.*

To się przybliż tu i mów mi do ucha.

(Wchodzi *Leontes*, *Antygon* i panowie. potem straż)

*Leontes.*

Więc tam go spotkano z orszakiem? Kamillo był z nim?

*Jeden z panów.*

Spotkałem ich tam za jodłowym gajem. Nigdym nie widział ludzi tak prędko zmiatających drogi. Śledziłem za niemi dopóki nie wsiedli na okręty.

*Leontes.*

Jakżem był trafnie natchniony w moim sprawiedliwym sądzie, w moich słusznych podejrzeniach! Niestety! gdybym mógł mniéj widzieć: przeklęte to natchnienie! Może siedzieć pająk na dnie czary, może kto się napić, postawić, a jednak nie zaczerpnąć jadu; bo wiadomość jego nie była zatrutą: ale niech kto przedstawi jego oczom obrzydliwą przyprawę, niech mu kto powie czego się napił, a wnet z gwałtownem wysileniem gardła i boków napój z siebie wyrzuci. Napiłem się i zobaczyłem pająka. Kamillo służył za pośrednika. Jest spisek na moje życie, na moją koronę. Podejrzenie stało się prawdą. Ten nędzny obłudnik, któregom chciał użyć, był już wprzódy użyty przez niego. Odkrył mu moje zamiary, a ja skrzywdzony zostałem ich igraszką. Jakim sposobem bramy tak łatwo zostały otwarte?

*Jeden z panów.*

Stało się to z przyczyny wielkiéj jego władzy, która często nie mniejsze sprawiała skutki, a to według twoich, panie rozkazów.

*Leontes.*

Wiem o tém, — aż nadto. — (*Do Hermiony*) Daj mi, pani, chłopca. Rad jestem żeś go nie karmiła: chociaż ma niektóre rysy ze mnie, ale twojéj krwi w nim za wiele.

*Hermiona.*

Cóż to? żart?

*Leontes.*

Weźcie ztąd chłopca, niech się do niéj nie zbliża; uprowadźcie go: niech ona z tym igra, którego nosi; bo to Polixen sprawił stan twój widoczny.

*Hermiona.*

Dosyć by powiedzieć że nie on, a przysięgłabym panie, że uwierzysz mojemu słowu, chociaż tak jesteś skłonny do sprzeciwiania się.

*Leontes.*

Panowie patrzajcie na nią, uważajcie ją dobrze; zechcecie pewnie powiedzieć: „to przystojna pani", a sprawiedliwość waszych serc doda: „szkoda że nie jest uczciwą, a szanowną". Chwalcie tylko jéj postać zewnętrzną (która, słowo daję, zasługuję na wielkie pochwały), a zaraz dwuznaczne mrugnięcie, zaraz: hm! ha! i te inne drobne piętnowania, których potwarz używa... o! nie, których pobłażanie używa, bo potwarz tylko cnoty się czepia; zaraz mrugnięcia i hm! ha! jak powiecie że jest przystojna, wcisnę się w środek zanim powiecie że jest uczciwa; bo niech to będzie wiadomem z ust tego, który najwięcéj ma powodów do ubolewania nad tem, ona — jest niewierną.

*Hermiona.*

Gdyby to zbrodniarz powiedział, największy zbrodniarz na świecie, tem większym byłby zbrodniarzem. O tobie, panie powiem tylko żeś się pomylił.

*Leontes.*

Ty, pani, pomyliłaś się, biorąc Polixena za Leonta. O! ty istoto, któréj nie chcę nazwać mianem istot twojego rzędu, z uwagi żeby gburostwo, powołując się na mnie, nie używało

podobnéj mowy we wszystkich klasach, i nie zatarło przyzwoitéj różnicy między księciem a żebrakiem. Powiedziałem, że jest występną, powiedziałem z kim; więcéj jeszcze, jest zdrajczynią, a Kamillo jest jéj sprzymierzeńcem. Kamillo wie to, co ona powinnaby się wstydzić wiedzieć sama, ona i jéj najpodlejszy wspólnik, że jest skazicielką łoża, tak jak te nikczemne, którym pospólstwo najgorsze daje imiona; tak, i powiernicą jest ich świeżéj ucieczki.

*Hermiona.*

Nie, na życie moje, nie jestem powiernicą niczego podobnego. Ach, jakże to tobie, panie, będzie przykro, jak przyjdziesz do jasnego przekonania, żeś mię tak wystawił. Drogi mój panie, z trudnością mi to wtedy wynagrodzisz wyznaniem, żeś się pomylił.

*Leontes.*

Nie; jeżeli się mylę, w tych założeniach, na których się opieram, to chyba środek ziemi nie dosyć jest mocny żeby uniósł bąka dziecinnego. (Pokazując na Hermionę). Uprowadźcie ją do więzienia, kto będzie za nią przemawiał, będzie uznany za winnego, za to tylko że mówił.

*Hermiona.*

Jakaś złowróżba planeta panuje. Muszę być cierpliwą, dopóki niebo nie zaświeci przychylniejszym aspektem. Moi dobrzy panowie, nie jestem skorą do płaczu, tak jak płeć moja zwykle bywa; może być że brak téj próżnéj rosy litość waszą osuszy, ale mam tu (z ręką na sercu) zacną boleść, która tak pali, że jéj łzy nie ugaszą. Błagam was, panowie moi, nie mierzcie mię innemi myślami, tylko najlepszemi, jakiemi tylko miłość bliźniego zdoła was natchnąć, — a teraz, niech wola królewska się spełni.

*Leontes.*

Czy będę usłuchany?

*Hermiona.*

Któż pójdzie ze mną? Błagam cię, najjaśniejszy panie, niech moje kobiety będą ze mną; bo, widzisz, panie, mój stan tego wymaga. (Do kobiet). Nie płaczcie, dobre dusze, nie ma powodu. Jak się dowiecie że wasza pani zasłużyła na karę więzienia, wtedy wylewajcie łzy nademną: próba przez którą teraz przechodzę jest dla mnie drogą lepszéj zasługi. Żegnam

cię, panie; nigdym nie życzyła widzieć cię zmartwionym; teraz jestem pewna że będziesz takim. Chodźcie, kobiety moje; macie pozwolenie.

*Leontes.*

Daléj, spełniajcie nasz rozkaz; idźcie.

(Wychodzi *Hermiona* pod strażą i panie).

*Jeden z panów.*

Błagam cię, panie, przywołaj królowę.

*Antygon.*

Panie, upewnij się w tem co czynisz, żeby sprawiedliwość twoja nie stała się gwałtem, na którymby trzy wielkie ofiary ucierpiały: ty panie, królowa i twój syn.

*Jeden z panów.*

Co do niéj, najjaśniejszy panie, ośmielam się życie stawić; tak jest, panie, życie stawiam w zakład, jeżeli je przyjmiesz, że królowa jest bez plamy w oczach nieba i względem ciebie; chcę mówić, co do tego, w czem ją, panie, obwiniasz.

*Antygon.*

Gdyby się pokazało że nie, gotów jestem dom gdzie z żoną mieszkam uważać za miejsce złodziejskiéj zasadzki, sprządz się z nią, i tyle tylko jéj wierzyć ile ją widzę i dotykam się; bo chyba każdy cal kobiety na świecie, każdy atom kobiecego ciała jest pełen fałszu, jeżeli ona fałszywa.

*Leontes.*

Milczcie.

*Jeden z panów.*

Drogi Panie.

*Antygon.*

Nie dla siebie, panie, mówimy, ale dla ciebie. Zwiedziony jesteś, panie, i to przez jakiegoś niegodziwca, który za to będzie potępiony. Chciałbym znać tego łotra, bo bym go na tym już świecie ukarał. Jeżeli jéj cześć jest naruszona — mam trzy córki: najstarsza ma jedenaście lat, druga dziewięć, trzecia około pięciu. No! więc jeżeli to prawda, córki mi za to zapłacą; na honor, pokaleczę je; nie dożyją do czternastu lat, żeby wydać fałszywe potomstwa; są współdziedziczkami: wolałbym sam się zgubić, niż żeby miał pójść z nich ród nieprawy.

*Leontes.*

Przestań, ani słowa więcéj. Oceniasz tę sprawę tak tępym zmysłem, jak węch trupa, (— chwyta go za rękę) ja ją widzę i czuję, tak jak ty czujesz co robię, i widzisz narzędzie twojego czucia.

*Antygon.*

Jeżeli tak, to niepotrzeba trumny dla pochowania czci. Nie ma ani ziarka cnoty, którem by można podkadzić oblicze całéj gnojnéj ziemi.

*Leontes.*

Co? nie mam zaufania?

*Antygon.*

Wolałbym, panie, żebyś sam raczéj na tym gruncie uczuł brak zaufania w sobie, i bardziéj bym się radował, gdyby się sprawdziło moje przekonanie o jéj czci, jak twoje podejrzenie, chociażbyś się sam, panie, przez to na naganę naraził.

*Leontes.*

Cóż mamy za potrzebę rozprawiać z wami o tem. Czemuż nie idziemy raczéj za naszym niewstrzymanym popędem? Nasza prerogatywa nie wymaga waszych rad; tylko dobroć nasza wrodzona skłania nas do udzielania się: jeżeli wy (ogłupieni, albo udając zręcznie takich) nie chcecie albo nie możecie poznać się na prawdzie, tak jak my, dowiedzcie się, że nie potrzebujemy więcéj waszych przełożeń: cała sprawa, zysk strata, rozporządzenie, wszystko to do nas właściwie należy.

*Antygon.*

A ja byłbym życzył, najjaśniejszy panie, żebyś był to sam z sobą w cichości rozsądził, bez większego rozgłosu.

*Leontes.*

Jakże by to być mogło? Albo z wiekiem stałeś się niedorzecznym, alboś się takim urodził. Ucieczka Kamilla przydała jeszcze do dowodu wynikającego z ich poufałości okoliczność nową, chociaż rzecz cała już była tyle namacalną, ile taką być może sprawa, któréj nic nie brak, prócz naocznego poświadczenia, nie żeby była dowiedzioną, ale tylko potwierdzoną; — i to przyśpieszyło całe postępowanie. Jednakże, dla pomnożenia pewności (bo w sprawie tak ważnéj nie dobrze by było postępować doraźnie) wyprawiłem z pośpiechem do świętych Delf, do świątyni Apollina, Kleomena i Diona, których

znasz znakomitą zdolność. Więc od wyroczni, któréj brzmienie odniosą, wszystko zależyć będzie; natchnione rady albo mię zatrzymają, albo pobudzą. Czym dobrze zrobił?

*(Jeden z panów).*

Dobrze postąpiono, panie.

*Leontes.*

Chociaż sam jestem zadowolniony, i nie potrzebuje więcéj wiedzieć, jednak wyrocznia zaspokoi umysły innych, tych mianowicie, których nieświadoma łatwowierność nie chce wznieść się do uznania prawdy. Tak więc osądziliśmy za dobre, żeby była zamknięta, zdala od naszéj wolnéj osoby, z obawy żeby nie pozostawić jéj środka do popełnienia takiéj saméj zdrady jakiéj się dopuścili ci dwaj co uciekali. Chodźmy; pójdźcie za mną; przemówimy o tém publicznie: bo ta sprawa wszystkich nas pobudzi.

*Antygon (na stronie).*

Do śmiechu, jak mniemam, jeżeli rzetelna prawda będzie poznaną. *(Wychodzą).*

## Scena IV.

Więzienie.

Wchodzi *Paulina*, dworzanin i służba.

*Paulina.*

Dozorca więzienia, — zawołać go; powiedzieć mu kto jestem. *(Dworzanin wychodzi)* Dobra pani! Nie ma dworu w Europie, którego byś nie była godną, i ty w więzieniu! cóż tu czynisz? *(Wraca dworzanin z dozorcą)* Cóż, kochany panie znasz mię, czy nie znasz?

*Dozorca.*

Wiem, pani, że jesteś zacną damą, którą wielce poważam.

*Paulina.*

Więc, proszę cię, zaprowadź mię do królowéj.

*Dozorca.*

Nie mogę, pani; mam wyraźny rozkaz, który się temu sprzeciwia.

*Paulina.*

Kłopoczą się tu o to, żeby zaryglować cześć i cnotę, i niedopuścić życzliwych odwiedzin. A będzież wolno, proszę, widzieć jéj kobiety? którąkolwiek z nich? Emilię?

*Dozorca.*

Jeżeli pani zechce kazać ustąpić tym osobom, przyprowadzę tu Emilię.

*Paulina.*

Proszę, zawołaj ją. Usuńcie się. (*Wychodzą*).

*Dozorca.*

Nadto, pozwoli pani, że będę przytomny rozmowie.

*Paulina.*

Dobrze, i owszem, proszę. (*Dozorca wychodzi*) Tak się tu kłopoczą, żeby to co jest bez plamy splamić w sposób nie dający się ubarwić! (*Wchodzi z dozorcą Emilia*) Droga pani, jakże się ma najłaskawsza królowa nasza?

*Emilia.*

Tak dobrze, jak tylko być może przy takim zbiegu wielkości duszy i opuszczenia. Z powodu obaw i smutków, (nigdy uczuciem obdarzona dama większych nie doznała), rozwiązanie nastąpiło cokolwiek zawcześnie.

*Paulina.*

Czy chłopiec?

*Emilia.*

Córka; ładna dziecina, zdrowa i obiecująca, że żyć będzie. Królowéj sprawia to wielką ulgę. Mówi: „biedna moja niewolnico, tak jestem niewinna jak ty".

*Paulina.*

Śmiało bym na to przysięgła. Ach, te niebezpieczne, chorobliwe przywidzenia lunatyczne króla niech przepadną! Trzeba mu to powiedzieć, i powie się. Ten obowiązek najlepiéj przystał kobiecie, i ja się tego podejmuję. Jeżeli miodowych słów użyję, niech mi język spuchnie, niech już nigdy nie służy za narzędzie rozczerwienionego gniewu. Proszę cię, Emilio zaleć królowéj moje najuniżeńsze służby. Jeżeli odważy się powierzyć mi swoją małą dziecinę, pokażę ją królowi, i podejmuję się być jéj adwokatem w najgłośniejszy sposób. My nie wiemy jak on się może zmiękczyć na widok dziecka; często milczenie czystéj niewinności przekonywa, tam gdzie wymowa chybia.

*Emilia.*

Najgodniejsza pani, tak widoczną jest zacność twoja i dobroć, że twój śmiały zamiar nie może nie mieć pomyślnego

powodzenia; żadna na świecie osoba nie jest odpowiedniejszą od pani do tego zadania. Jeżeli pani raczy przejść do sąsiedniego pokoju, ja zaraz o twojéj najszlachetniejszéj propozycyi zawiadomię królowę, która dziś właśnie kuła podobny projekt, ale nie śmiała nikomu powierzyć tak zaszczytnego posłannictwa, lękając się doznać odmowy.

*Paulina.*

Powiedz jéj, Emilio, że użyję języka jaki mam: jeżeli tyle w nim będzie wymowy, ile śmiałości w méj piersi, nie ma wątpliwości że sprawię coś dobrego.

*Emilia.*

Niech już za to błogosławieństwo na ciebie spłynie. Ja pójdę do królowéj; ty, pani, zostań tu blizko.

*Dozorca (Do Pauliny).*

Pani, jeżeli królowéj spodoba się posłać dziecko, nie wiem na co się narażam, skoro je przypuszczę, nie mając pozwolenia.

*Paulina.*

Mój panie, nie masz się czego lękać. Dziecko już wprzódy było jakby w więzieniu, a na mocy prawa i postępowania potężnéj przyrody, zostało ztamtąd uwolnione i oswobodzone: nie ma udziału w gniewie królewskim, ani w winie matki, gdyby była jaka wina.

*Dozorca.*

Wierzę temu.

*Paulina.*

Nie lękaj się; honorem ręczę, stanę między tobą a niebezpieczeństwem.

## Scena V.

Sala w pałacu królewskim.

Wchodzi *Leontes*, *Antygon*, panowie radni i dworzanie.

*Leontes.*

Ani w nocy, ani w dzień nie mam spoczynku. Tak znosić to wszystko, to słabość“; tak, czysta słabość“, gdyby nie to, że powód egzystuje. Część powodu, ona, cudzołożnica; co do tego króla łotra, ten jest poza moim ramieniem, poza metą

i pociskiem mojéj zawziętości, bezpieczny od spisków: ale na nią mogę hak zarzucić. Mówię, że gdyby jéj nie było, gdyby oddana była płomieniom, połowa mojego spoczynku możeby do mnie wróciła. Kto tam? *(Wchodzi dworzanin).*

*Dworzanin.*

Najjaśniejszy panie!

*Leontes.*

Jakże się chłopiec ma?

*Dworzanin.*

Dobrze spoczywał téj nocy, spodziewają się, że jego choroba skończyła się.

*Leontes.*

Patrzcie, jaki szlachetny! Zrozumiawszy hańbę swojéj matki, natychmiast zachwiał się, pochylił, uczuł to głęboko; zwrócił ku sobie i wbił w siebie ten wstyd; stracił żywość, apetyt, sen, i wpadł w znękanie. Zostaw mię samego; idź, zobacz jak mu jest. *(Dworzanin wychodzi)* Fe! fe! nie myślmy o tamtym. Myśl zemsty, którą zwracam w tamtą stronę, odbija się o mnie. Zanadto potężny sam przez się, przez swoje stanowisko, swoje przymierza; niech tak zostanie, póki czas nie usłuży. Teraźniejsza zemsta niech na nią spadnie. Kamillo i Polixen śmieją się ze mnie, rozrywkę sobie robią z mojéj boleści: nie śmieliby się, gdybym mógł ich dosięgnąć, ani ona nie będzie się śmiała, ta co jest pod moją władzą. *(Siada na tronie w zamyśleniu; pokazuje się Paulina z dzieckiem przy wejściu do sali).*

*Jeden z dworzan.*

Pani nie możesz wejść.

*Paulina.*

Nie, moi dobrzy panowie, raczéj pomagajcie mi. Czy więcéj dbacie o tyrańską jego namiętność, jak o życie królowéj? szlachetna, niewinna dusza, bardziéj jeszcze czysta jak on zazdrosny.

*Antygon (do Pauliny).*

Dosyć tego.

*Jeden z dworzan.*

Pani, król nie spał téj nocy; rozkazał żeby się nikt do niego nie zbliżał.

*Paulina.*

Nie tak gorąco, dobry panie; przyszłam po to, żeby mu sen przywrócić. Tacy to ludzie jak ty, co krążą jak cienie koło niego, i wzdychają przy każdym jego próżnym jęku, tacy to ludzie żywią w nim powody bezsenności. Ja przychodzę do niego ze słowami równie uzdrawiającemi, jak prawdziwemi i uczciwemi, żeby mu przeczyścić złe soki, co sen odganiają od niego.

*Leontes.*

Co za hałas tam?

*Paulina.*

Żadnego hałasu, najjaśniejszy panie, tylko rozmowa z potrzeby o przedmiotach, które dotyczą waszéj królewskiéj mości

*Leontes.*

Co? precz z tą zuchwałą panią. Antygonie, zleciłem ci żeby jéj tu nie puszczać; wiedziałem że przyjdzie.

*Antygon.*

Powiedziałem jéj, panie, że pod zagrożeniem nieukontentowania waszéj królewskiéj mości i mojego, nie powinna stanąć przed tobą, panie.

*Leontes.*

Cóż? nie możesz jéj powstrzymać?

*Paulina.*

Od nieuczciwych rzeczy, może. Ale tu (chyba, że postąpi jak wasza królewska mość i odda mię pod straż za to że strzegę cnoty) wierzaj mi, panie, nie ma władzy nademną.

*Antygon.*

A co? słyszycie panowie? jak na kieł wezmie, muszę jéj popuścić cugli; już się chyba nie potknie.

*Paulina.*

Dobry mój władzco! przychodzę, — a błagam cię, wysłuchaj mnie, — mnie co się stawiam przed tobą jak wierna sługa, jak twój lekarz, jak najposłuszniejszy doradzca, a jednak mniéj się odważam wykazać się taką, nawet łagodząc twoje cierpienia, jak ci, co zdają się być najbardziéj tobie oddani. Tak, panie, przychodzę od naszéj dobréj królowéj.

*Leontes.*

Dobréj królowéj!

*Paulina.*

Dobréj królowéj, panie mój, dobréj królowéj! Tak, powtarzam, od dobréj królowéj, i chciałabym walczyć w obronie jéj cnoty, gdybym była mężczyzną, najlichszym z pomiędzy was.

*Leontes.*

Wyprowadźcie ją ztąd.

*Paulina.*

Niech ten kto nie dba o swoje oczy, pierwszy podniesie na mnie rękę. Z własnéj woli pójdę sama, ale pierwéj muszę spełnić moje zlecenie. Dobra królowa, bo pewnie że jest dobra powiła tobie, panie, córkę, — oto ona, — i poleca ją twojemu błogosławieństwu. (Składa dziecko u nóg króla).

*Leontes.*

Precz! męzka czarownico. Precz ztąd, za drzwi! Doskonale wyćwiczona stręczycielka występku.

*Paulina.*

Wcale nie! Tak jestem nieświadoma tego, jak ty, panie, co mię tak mianujesz, i niemniéj jestem uczciwą, jak ty, panie, jesteś szalony. Według tego, jak teraz idą rzeczy na świecie, wystarczy to, żeby uchodzić za uczciwą.

*Leontes.*

Zdrajcy! nie wypchniecie jéj ztąd? Oddajcie jéj tego podrzutka. (Do Antygona). Ty, niedołężny, tobą kobieta rządzi; pani kokosz tu ciebie przekrzyczy. Weź podrzutka, weź, mówię i oddaj go twojéj babie.

*Paulina.*

Niech na zawsze zhańbione będą twoje ręce, jeżeli schylisz je po księżniczkę, usłyszawszy te wyrodne bezecności jakiemi obrzucił ją.

*Leontes.*

Boi się żony!

*Paulina.*

Chciałabym, panie, żebyś się swojéj bał; wtedy, bezwątpienia, swojemi byś nazwał swoje dzieci.

*Leontes.*

Gniazdo zdrajców!

*Antygon.*

Nie jestem takim; klnę się tem dobrem światłem?

*Paulina.*

Ani ja, ani nikt, tylko jeden, który tu jest, — a to, on sam. Bo to on zdradza świętą cześć własną, królowéj swojéj, syna pełnego nadziei, niemowlęcia tego, dla potwarzy, któréj żądło ostrzejsze od miecza. Nie chce, (a tak, jak rzeczy stoją, to nieszczęście, że go zmusić do tego nie można), — nie chce wyrwać z korzeniem mniemania tak zgniłego, jak zdrowym jest dąb lub kamień.

*Leontes.*

Sójka z niepowstrzymanym językiem, dopiero co męża pobiła, teraz na mnie napada! To pisklę nie moje, to potomstwo Polixena, precz z niem; razem z matką niech idzie na ogień!

*Paulina.*

Twoje to, panie, dziecko: możnaby tu zastósować starą pogadankę: tak podobne, że aż brzydko! Patrzcie, panowie moi, chociaż to drobna miniaturka, cała to treść i kopia ojca: oczki, nosek, usteczka, zmarszczenie brwi, czoło, nawet zgięcie brody: ładne dołeczki na buzi, uśmiech, — a kształt i rysunek rączki, paznokci, paluszków. A ty, dobra przyrodo, coś ją utworzyła tak podobną do tego, który jéj dał życie, — jeżeli do ciebie także należy ukształcenie jéj umysłu, nie namięszaj do innych barw żółtéj barwy zazdrości, żeby kiedy, tak jak jéj ojciec, nie podejrzywała że jéj dzieci nie są dziećmi jéj męża.

*Leontes.*

Strzygo bezecna! (Do Antygona) A ty, bałwanie, zasługiwałbyś na powieszenie, że nie umiesz wstrzymać jéj języka.

*Antygon.*

Każ, panie, powiesić wszystkich mężów, którzy podobnego dzieła nie dokażą, a nie wiem, czy ci jeden poddany pozostanie.

*Leontes.*

Jeszcze raz, wyprowadźcie ją ztąd.

*Paulina.*

Niegodny, wyrodny mąż nie może inaczéj postąpić.

*Leontes.*

Każę cię spalić.

*Paulina.*

Nie dbam o to. Ten jest heretyk, kto stos podpali, nie ten kto na nim spłonie! Nie chcę cię, panie, nazwać tyranem, ale tak okrutne postępowanie z królową, wtedy, kiedy na jéj obwinienie nic innego nie można przytoczyć, tylko bezrozumne przywidzenie, trąci poniekąd tyrańśtwem, i okryje cię, panie, w obec świata niesławą i zgorszeniem.

*Leontes.* (Do dworzan).

W imię zaprzysiężonéj wierności, wyprowadźcie ją z téj komnaty. Gdybym był tyranem, gdzież by było jéj życie? Nie śmiałaby mię nazwać tyranem, gdybym był takim. Precz z nią! (Dworzanie zbliżają się do Pauliny).

*Paulina.*

Nie potrącajcie mię, proszę was; już wyjdę. Pilnuj tego niemowlęcia, panie; to twoje. Oby mu Jowisz zesłał lepszego ducha za przewodnika! (Do dworzan). Po co tę ręce? Wy, coście tacy czuli na jego szaleństwa, nic mu przez to dobrego nie zrobicie; nikt z was. Tak, tak, bądźcie zdrowi; już idziemy. (Wychodzi).

*Leontes* (Do Antygona).

To ty, zdrajco, naprowadziłeś żonę. Moje dziecko? Precz z niem! Ty, co masz takie miękkie serce dla tego dziecka, weź je i każ je natychmiast w ogień wrzucić, ażby się spaliło; ty sam, nikt inny, tylko ty! Zabierz je zaraz; nim godzina upłynie, masz mi poświadczyć, że rzecz spełniona; masz mię o tem dowodnie przekonać, albo odbiorę ci życie i wszystko coś dotychczas nazywał swojem. Jeżeli odmawiasz, i wolisz doznać skutków mojego gniewu, powiedz, a ja własnemi rękami rozbiję czaszkę sromotnego płodu. Weź je, i daléj na ogień; bo to ty namówiłeś żonę.

*Antygon.*

Nie zrobiłem tego, panie. Ci panowie, moi szlachetni towarzysze, mogą łaskawie oczyścić mię z tego zarzutu.

*Jeden z panów.*

Możemy, najjaśniejszy panie. On wcale temu nie winien że Paulina tu przyszła.

*Leontes.*

Wszyscy jesteście kłamcy.

*Jeden z panów.*

Błagamy waszéj królewskiéj mości, racz nam lepiéj zaufać. Zawsześmy ci wiernie służyli; błagamy cię, panie, racz tak trzymać o nas. A na kolanach prosimy (jako nagrodę za nasze dobre usługi przeszłe i przyszłe), żebyś raczył odmienić zamiar, który, będąc tak strasznym, tak krwawym, musiałby fatalne następstwa sprowadzić. Wszyscy klękamy. (klękają).

*Leontes.*

Mam być piórkiem dla lada wiatru, co skądkolwiek dmuchnie? Mamże dożyć tego, żebym widział jak i ten nieprawy odrzutek przyklęknie i nazwie mię ojcem? Lepiéj teraz je spalić, jak potem przekląć! Ale niech już tak będzie, niech żyje! Nie! i tak żyć nie będzie. (Do Antygona). Zbliż się, mości panie. Ty, coś z twoją Małgosią biegłą w sztuce babienia, tak czule się wstawiałeś dla ochronienia życia tego nieprawego odrzutka, (bo, że nieprawe, to tak pewne, jak to, że masz siwą brodę) powiedz, na co byś się naraził dla ocalenia tego bachora?

*Antygon.*

Na wszystko, najjaśniejszy panie, co tylko możność moja zdołałaby przenieść, a uczciwość nakazać. A przynajmniéj tyle powiem, że oddam resztę krwi mojéj dla ocalenia téj niewinnéj istoty; zrobię wszystko co można.

*Leontes.*

Dobrze; to będzie możliwe. Przysięgnij na ten miecz, że spełnisz mój rozkaz.

*Antygon.*

Spełnię, najjaśniejszy panie.

*Leontes.*

Słuchaj i spełnij to, (uważasz ?), bo opuszczenie najmniejszego szczegółu w tem wszystkiem, pociągnie za sobą nie tylko twoją śmierć, ale i twojéj złojęzycznej żony, któréj temczasowo przebaczamy. Rozkazujemy ci, jak jesteś naszym poddanym i lennikiem, żebyś to nieprawne dziecko płci żeńskiéj wziął ztąd, i żebyś je zaniósł w jakie miejsce oddalone i puste, poza granicą naszych posiadłości, i tam żebyś je zostawił, bez żadnéj litości, własnéj opiece, na łasce losu i natury. Gdy szczególnym wypadkiem do nas się to dziecko dostało, poruczamy ci tedy, według sprawiedliwości, pod niebezpieczeństwem zbawienia i groźbą cielesnéj katuszy, żebyś je równie szczególnym

sposobem porzucił w jakiem miejscu, gdzie by je los albo wychował, albo zniszczył. Zabierz je.

*Antygon.*

Przysięgam, że to zrobię, chociaż cios doraźny byłby może litościwszym. Chodź, biedne niemowlę. Oby duch jaki potężny nauczył jastrzębie i kruki, żeby byli twojemi żywicielami! Powiadają że niedźwiedzie i wilcy, zapominając o swojéj dzikości, spełniali czasem obowiązek miłosierdzia. Panie, niech ci się lepiéj szczęści, niż zasłużyłeś tym czynem; a błogosławieństwo niech walczy po twojéj stronie przeciwko okrucieństwu, biedne stworzenie na zgubę skazane! (Wychodzi z dzieckiem).

*Leontes.*

Nie; nie będę wychowywał cudzego potomstwa.

*Posłaniec* (Wchodzi)

Pozwól, najjaśniejszy panie, donieść ci, że posłowie wyprawieni po wyrocznię wrócili przed godziną. Kleomen i Dion szczęśliwie przybyli z Delf, wylądowali i pośpiesznie zbliżają się do dworu.

*Jeden z panów.*

Tak, najjaśniéjszy królu, ich pośpiech przewyższył wszelkie oczekiwanie.

*Leontes.*

Dwadzieścia trzy dni byli w drodze. Dobrze się sprawili. To zapowiada, że wielki Apollo chce, żeby prawda w téj całéj sprawie jak najrychléj się wyjawiła. Przygotujcie się panowie, zwołajcie zgromadzenie, żebyśmy mogli pozwać naszą niewierną małżonkę: bo, skorośmy ją publicznie obwinili, chcemy żeby się odbył sprawiedliwy i jawny sąd. Póki ona żyje, serce moje będzie dla mnie ciężarem. Zostawcie mię i pamiętajcie o mojem poleceniu. (Wychodzą po kilku).

## Scena VI.

Na wybrzeżu Sycylii przed domem zajezdnym.

(Wchodzą *Kleomen*, *Dion* i służba).

*Kleomen.*

Klimat przyjemny, powietrze bardzo łagodne, wyspa urodzajna; świątynia przewyższa wspaniałością zwyczajne pochwały jakie jéj oddają.

*Dion.*

Szczególnego wspomnienia godne, bo to mię najbardziéj uderzyło, niebiańskie osłony (zdaje mi się że tak powinienem je nazwać) i postać poważnych kapłanów, wzbudzająca uszanowanie. A obrzędy, jakże wspaniałe, uroczyste i nadziemskie, zwłaszcza w czasie ofiary!

*Kleomen.*

Ale nadewszystko, wybuch i ogłuszający odgłos wyroczni podobny do grzmotu jowiszowego, tak zmysły moje zadziwił, że czułem się niczem.

*Dion.*

Jeżeli skutek naszéj podróży okaże się tak pomyślnym dla królowéj (oby był takim!) jak dla nas podróż była czarującą, rozkoszną i szybką, to czas na to użyty nie był stracony, i trud dobrze się wynagrodził.

*Kleomen.*

Oby wielki Apollo obrócił wszystko na dobre! Te ogłoszenia, które przesadnemi zarzutami obciążają Hermionę nie bardzo mi się podobają.

*Dion.*

Gwałtowność z jaką się to prowadzi, albo oczyści, albo zakończy tę sprawę. Skoro odpowiedź wyroczni, pod pieczęcią przez wielkiego kapłana apollinowego udzielona, wypowie swoją treść, wtedy dopiero osobliwe zaprawdę rzeczy dojdą do wiadomości powszechnéj. Daléj! niech nam tu konie zaprzęgną, a wypadek oby był pomyślnym! (Wychodzą).

## Scena VII.

Sala sądowa w pałacu królewskim.

*Leontes*, panowie i urzędnicy siedzą na swoich miejscach.

*Leontes.*

To posiedzenie sądowe, które z wielkim smutkiem zagajam, zadaje cios naszemu sercu. Strona powołana jest córką królewską, żoną naszą, przez nas za nadto ukochaną. Chcemy być zwolnionemi od zarzutu tyraństwa, skoro tak jawne wywołujemy postępowanie sądowe, które będzie miało swój bieg należny, czy to doprowadzi do uznania winy, czy do oczyszczenia od zarzutów. Wprowadźcie uwięzioną.

*Urzędnik.*

Wolą jest najjaśniejszego króla, ażeby królowa osobiście stanęła przed sądem. Uciszcie się panowie!

(Hermiona wprowadzona pod strażą, Paulina i inne kobiety z orszaku królowej).

*Leontes.*

Przeczytać akt oskarżenia.

*Urzędnik.* (Czyta).

„Hermiono, małżonko zacnego Leonta, króla Sycylii, je-„steś tu pozwaną i oskarżoną o zdradę państwa, mianowicie „o występny stosunek z Polixenem, królem Bohemii, i o spi-„sek z Kamillem, w celu wydarcia życia najjaśniejszemu kró-„lowi nam panującemu a twojemu małżonkowi. A gdy istnienie „takowego spisku w części ze zbiegu okoliczności zostało wy-„krytem, ty, Hermiono, sprzecznie z obowiązkiem i przysięgą „wiernéj poddanéj, radą i pomocą skłoniłaś ich, dla ich bez-„pieczeństwa, do nocnéj ucieczki“.

*Hermiona.*

Ponieważ to, co mam powiedzieć, niczem innem być nie może, tylko zaprzeczeniem oskarżenia, a świadectwa żadnego innego na moją stronę nie mogę powołać, tylko to, co odemnie saméj pochodzi, wiem przeto, że nie wiele mi pomoże oświadczenie, że jestem niewinną: bo skoro sądzą że cześć moja jest fałszywą, to i oświadczenie moje tak samo będzie uważane. Ale tak powiem: jeżeli boska potęga widzi nasze ludzkie czyny, jak jest w rzeczy saméj, nie wątpię, że niewinność zawstydzi nakoniec potwarcze oskarżenie, a prześladowanie zadrży przed cierpliwością. (Do Leonta) Najjaśniejszy panie, ty wiesz najlepiéj, ty, co zdajesz się nic nie wiedzieć, że moje życie przeszłe było tak nieposzlakowane, czyste, wierne, jak teraz jest nieszczęśliwe; a takie jest teraz, że większego nieszczęścia historya nie podaje, choćby ją ubarwić i dramatycznie przedstawić dla wzruszenia widzów. Bo, patrzcież! towarzyszka królewskiego łoża, uczestniczka tronu, córka wielkiego króla, matka księcia tyle obiecującego, stoję tu i mam dowodzić, mam rozprawiać w obronie mojego życia i honoru, przed każdym, komu spodoba się przyjść i słuchać. Co do życia, tyle je cenię, ile waży cierpienie, którego rada bym się pozbyć, ale cześć, jestto przekaz, co przechodzi odemnie do moich, i téj

tylko tu bronię. Odwołuję się do twego własnego sumienia, panie; zanim Polixen przybył do twego domu, w jakich łaskach byłam u ciebie, i jak na to zasługiwałam? Odkąd przybył, w jakież tak niestosowne popadłem zawikłania, żeby aż tu stanąć? Jeżeli choć o jedną jotę przekroczyłam szranki honoru, albo myślą, albo czynem skłoniłam się ku temu, niech skamienieją dla mnie serca wszystkich tych, którzy mię słyszą, niech najbliższy z mojego rodu wyrzeknie słowo hańby nad moim grobem.

*Leontes.*

Nigdym też nie mniemał i nie słyszał, żeby zuchwały występek mniejszą odznaczał się bezczelnością w wypieraniu się swoich czynów, jak w popełnianiu takowych.

*Hermiona.*

Prawdziwa to uwaga; ale taka, panie, która do mnie się nie stosuje.

*Leontes.*

Nie chcesz jéj przyjąć.

*Hermiona.*

Z tego co składają na mnie tytułem winy, wcale nie powinnam przyjąć więcéj, tylko tyle, ile do mnie należy. Co do Polixena, (wespół zemną obwinionego), wyznaję, tak go kochałam, jak uczciwie mógł tego wymagać; taką miłością, jaka przystała osobie mojego stanowiska; taką właśnie miłością, a nie inną, jaką mi sam nakazałeś: Nie okazać jéj, byłoby, jak myślę, oznaką nieposłuszeństwa i niewdzięczności względem ciebie, panie i względem twojego przyjaciela, którego skłonność wyraziła się, odkąd tylko przemówić mogła, od dziecka, z zupełną ku tobie przychylnością. Co do spisku, nie wiem jaki ma smak; chociaż tę potrawą dla mnie sporządzono żebym jéj skosztowała. To tylko wiem, że Kamillo był uczciwym człowiekiem, a dla czego potajemnie dwór twój opuścił, to i dla bogów jest tajemnicą, jeżeli tyle tylko wiedzą, ile ja.

*Leontes.*

Wiedziałaś o jego wyjeździe, tak samo jak wiedziałaś co miałaś przedsięwziąć w jego nieobecności.

*Hermiona.*

Panie, mówisz językiem dla mnie niezrozumiałym. Życie moje jest na łasce twoich przywidzeń i złożę je kiedy potrzeba.

*Leontes.*

Twoje czyny są mojemi przywidzeniami. Wydałeś na świat nieprawe dziecko, którego ojcem jest Polixen, i to ma być mojem przywidzeniem! Wzgardziwszy wstydem, (jak podobne tobie istoty), nic dziwnego że mijasz się z prawdą. Zaprzeczasz, bo tak ci wypada, ale nic to nie pomoże; bo tak jak twoje dziecko, sobie samemu zostawione, musiało być porzucone, skoro nie miało ojca, który by je przyznał (co, zaprawdę, raczéj twoją jest zbrodnią, jak dziecka winą), tak samo i ty doznasz naszéj sprawiedliwości, któréj wyrazem najlżejszym nie oczekuj żeby co innego być mogło jak śmierć.

*Hermiona.*

Panie, możesz mi oszczędzić gróźb. Straszydło, którem mię chcesz przerazić, pożądanem jest dla mnie. Dla mnie życie nie jest żadnem dobrodziejstwem. Łaskę twoją, co była koroną i pociechą mojego życia, mam za straconą niepowrotnie; czuję że znikła; jak się to stało, nie wiem. Druga radość moja, pierworodne dziecko, widzieć go nie mogę; odgrodzono go odemnie, jakby od zapowietrzonéj. Trzecia pociecha moja, pod najnieszczęśliwszą gwiazdą urodzona, od moich piersi, z niewinnem mlekiem na niewinnych usteczkach, oderwana, po to, żeby ją zamordować. Ja sama, po wszystkich rynkach za nierządnicę ogłoszona. Z niepomiarkowaną zawziętością odmawiają mi nawet przywilejów, które kobietom wszelkiego stanu należą się. Nakoniec, tu jestem sprowadzona, wystawiona na publiczny widok, zanim jeszcze siły odzyskać mogłam. Powiedzże teraz, najjaśniejszy panie, jakież mię mogą czekać w życiu radości, dla których miałabym się śmierci obawiać? Postępuj więc daléj, jak zacząłeś, ale posłuchaj co mam jeszcze powiedzieć. Nie bądź w błędzie co do mnie: nie chcę życia; nie warte dla mnie tyle, co źdźbło słomy; ale co do mojéj czci, którą chcę zachować nieskażoną. — jeżeli mam być potępioną na proste domysły, w zupełnym braku dowodów, prócz tych, jakie zazdrość twoja wznieca, zapowiadam, nie będzie to sprawiedliwością, ale bezprawiem. Panowie, wszyscy tu obecni, odwołuję się do wyroczni. Niech Apollo będzie moim sędzią.

*Jeden z panów.*

Żądanie twoje, pani, jest zupełnie słuszne. A zatem, w imieniu Apollina, niech słowa jego wyroczni będą tu odniesione. (Kilku urzędników odchodzi).

*Hermiona.*

Władca Rusi był moim ojcem. O! czemuż on nie żyje, żeby mógł widzieć sąd nad jego córką. Oby mógł widzieć przynajmniéj przepaść mojéj nędzy, ale oczami litości, nie zemsty.

(Urzędnicy wracają, z niemi Dion i Kleomen).

*Urzędnik* (trzymając pismo w ręku).

Złożycie tu przysięgę na ten miecz sprawiedliwości, Kleomenie i Dionie, żeście byli obaj w Delfach, że stamtąd przywieźliście to pismo zapieczętowane, zawierające słowa wyroczni oddane wam przez wielkiego kapłana Apollina, i że aż dotąd nieośmieliliście się rozłamać pieczęci dla wyczytania zawartéj w niem tajemnicy.

*Kleomen i Dion.*

Przysięgamy.

*Leontes.*

Rozłamać pieczęć i czytać.

*Urzędnik* (czyta):

„Hermiona jest niepokalaną, Polixen bez zarzutu, Ka-
„millo wiernym poddanym, Leontes zazdrosnym tyranem, nie-
„winne jego dziecko w prawym związku zrodzone, a król bę-
„dzie bez potomstwa, jeżeli to, które zgubiono, nie odszuka się.

*Jeden z panów.*

Dzięki wielkiemu Apollinowi!

*Hermiona.*

Chwała mu!

*Leontes.*

Czyś czytał zgodnie z prawdą?

*Urzędnik.*

Najjaśniejszy panie, zupełnie tak jak tu stoi.

*Leontes.*

Nie ma żadnéj prawdy w téj wyroczni; sąd ma się daléj odbywać; wszystko to jest fałsz.

*Dworzanin* (wchodzi).

Najjaśniejszy królu, królu mój!

*Leontes.*

Co się stało?

*Dworzanin.*

O! panie, przeklniesz mię za to co oznajmiam. Książe syn twój, na samą myśl i obawę o los królowéj, zszedł.

*Leontes.*

Jakto, zszedł?

*Urzędnik.*

Umarł!

*Leontes.*

Apollo jest zagniewany; same niebiosa karcą moją niesprawiedliwość. — Cóż to znowu?

(Hermiona pada bez przytomności).

*Paulina.*

Ta wiadomość była śmiertelną dla królowéj. Patrzcie teraz, i zobaczcie co śmierć robi!

*Leontes.*

Unieście ją ztąd! To raptowne przepełnienie serca, ale ona odzyska przytomność. Za nadto zaufałem moim podejrzeniom. Zaklinam was „użyjcie najczulszych starań. żeby ją przywrócić do życia! (Paulina i panie unoszą Hermionę). Apollo, przebacz bluźniercze nieuszanowanie twojéj wyroczni! Pogodzę się z Polixenem, nową miłość ślubować będę królowéj, przywołam dobrego Kamilla, którego ogłaszam tu człowiekiem czci i miłosierdzia. Bo, pobudzony przez zazdrość do krwawych myśli i do zemsty, wybrałem był Kamilla za narzędzie do otrucia przyjaciela mojego, Polixena, to byłoby się spełniło, gdyby dobre serce Kamilla nie odwróciło skutków mojego gwałtownego rozkazu, chociaż ja za niedopełnienie lub téż spełnienie tego czynu, naprzemian, to śmiercią mu groziłem, to nagrodę obiecywałem. On jednak, pełen ludzkości i honoru, odkrył mój zamiar królewskiemu gościowi, porzucił wiadome wam stanowisko jakie tu zajmował, porzucił znaczne mienie, i puścił się na widoczne niebezpieczeństwo niepewnego losu, bogaty tylko czcią swoją. Jakże on jaśnieje obok mojéj ciemnéj rdzy; jakże jego zacność zwiększa czarną ohydę moich czynów! (Wchodzi Paulina).

*Paulina.*

Nieszczęsna chwilo! O przetnijcie mi sznurówkę, bo mi ją serce rozerwie, jak pęknie z żalu.

*Jeden z panów.*

Cóż to za przypadek, kochana pani?

*Paulina.*

Jakie masz dla mnie najwymyślniejsze męczarnie, tyranie? Jakie koła? jakie pale? jakie stosy? jakie pręgierze? roztopiony ołów? oléj wrzący? jakie stare lub nowe katusze mam wytrzymać, kiedy każde słowo jak powiem, zrównoważy próbę najgorszych twoich męczarni? Twoje tyraństwo sprzęgnięte z twoją zazdrością, to wymysły za słabe dla przestraszenia chłopców, niedojrzałe i puste dla dziewięcioletnich dziewczynek. O! pomyśl co z tego wynikło, a wtedy zostań waryatem, szalonym waryatem, bo wszystkie twoje poprzednie szaleństwa były tylko zarodkiem tego co się stało. Żeś zdradził Polixena, to nic; pokazałeś się tylko niedorzecznym, niestałym i szkaradnie niewdzięcznym. I to nie wiele znaczy, żeś chciał zatrzeć cześć dobrego Kamilla, namawiając go do królobójstwa.. Nędzne grzechy obok daleko potworniejszych! W porównaniu, liczę to za nic, lub za mało, żeś rzucił krukom na pożarcie twoje niemowlątko, córeczkę własną, chociaż szatan łzy by wycisnął z płomienia, nim by to zrobił. Ani też wprost na ciebie nie spada śmierć młodego księcia którego szlachetne uczucia (tak wzniosłe w tak młodym wieku) śmiertelnie przebodły mu serce, skoro pojął że dziki i nierozsądny ojciec hańbi dostojną jego matkę: nie; nic to spada na twoją odpowiedzialność. Ale to ostatnie! O! panowie, jak to powiem, wykrzyknijcie: biada! Królowa, królowa, najsłodsza, najmilsza istota umarła: a zemsta za to jeszcze tu nie spadła!

*Jeden z panów.*

Niech potęgi najwyższe obronią!

*Paulina.*

Mówię że umarła; przysięgnę: jeżeli słowa i przysięgi nie przekonają, pójdźcie i zobaczcie. Jeżeli możecie przywrócić zabarwienie ust, blask oczu, ciepło zewnątrz, oddech z wewnątrz, służyć wam będę, jakbym bogom służyła. Ale ty, tyranie, nie żałuj tych strat, bo są tak ciężkie, że ich największe żale nie usuną: więc oddaj się tylko rozpaczy! Tysiąc kolan zgiętych przez dziesięć tysięcy lat, w obnażeniu, w poście, na gołéj górze, wśród zimy i wieczornéj burzy, nie zdoła skłonić bogów by spojrzeli w tę stronę gdzie jesteś.

*Leontes.*

Mów, mów, nie możesz mówić za wiele; zasłużyłem ze wszystkich ust na wyrzuty największą goryczą zaprawne.

*Jeden z panów.*

Przestań, pani. Jakkolwiek się stało, zawiniłaś zbyteczną śmiałością twojéj mowy.

*Paulina.*

Żałuję tego. Za wszystkie błędy moje, jak tylko je poznam, szczery żal okazać pragnę. Niestety! zanadto uniosłam się popędliwością kobiecą: dotknięty jest w szlachetnéj części serca. Co się stało, i czemu zaradzić nie można, nie powinno już dotykać zbyteczną boleścią. Nie smuć się, panie, z powodu mojéj mowy, błagam cię. Raczéj ukarz mię za to, żem ci to przypomniała, o czem powinienbyś zapomnieć. Teraz, dobry mój władzco, najjaśniejszy królu, wybacz szalonéj kobiecie miłość, jaką byłam przejęta dla swojéj królowéj. Ach! szalona znowu! Nie będę więcéj mówiła o niéj, ani o twoich dzieciach nie będę ci więcéj wspominała, ani o moim mężu, który także zgubiony. Uzbrój się, panie, w cierpliwość, a ja nic więcéj nie powiem.

*Leontes.*

Aż nadto dobrze mówiłaś, mówiąc prawdę; chętniéj ją przyjmuję, jak twoją litość. Proszę cię, zaprowadź mię do martwych zwłok mojéj żony i mojego syna; oboje w jednym grobie będą złożeni. A na ich grobowcu wyjawione będą powody ich śmierci na moją wieczną hańbę. Codzień zwiedzać będę kaplicę w któréj będą spoczywali, a łzy tam wylane będą moją rozrywką. Póki tylko przyrodzony bieg życia da mi wytrwać w tem zajęciu, ślubuję spełniać je. Chodź, prowadź mię do tych smutków.

## Scena VIII.

(Wybrzeże Bohemii. Pusta okolica nad morzem).

Wchodzi *Antygon* z dzieckiem i *marynarz.*

*Antygon.*

A więc, jesteś pewny że nasz statek zawinął do pustych wybrzeży należących do Bohemii?

*Marynarz.*

Tak panie, i boję się, czyśmy nie wylądowali w złą chwilę. Chmury groźnie wyglądają, i wróżą nadchodzącą burzę. Na moją duszę, nieba srożą się na nas za to, co mamy spełnić, i gniewnie na nas patrzą.

*Antygon.*

Ich święta wola niech się stanie! Idź wracaj na brzeg, pilnuj statku: niedługo wrócę do ciebie.

*Marynarz.*

Pospiesz się, panie, ile możesz i nie zapuszczaj się daleko wgłąb kraju; zdaje się że będziemy mieli ciężką niepogodę! a przytém, to miejsce znane jest z obfitości drapieżnych zwierząt, które tu przebywają.

*Antygon.*

Idź, za chwilę pójdę za tobą.

*Marynarz*

Rad jestem z głębi serca żem się pozbył téj sprawy.

*Antygon.*

Chodź biedne dziecko! słyszałem choć temu nie wierzyłem, że duchy zmarłych mogą wracać na ziemię; jeżeli to prawda, twoja matka ukazała mi się przeszłéj nocy; bo nigdy sen nie był tak podobném do tego, co bywa na jawie. Przychodzi do mnie jakaś istota, pochyla głowę to na jednę stronę, to na drugą: nigdym nie widział naczynia smutku tak pełnego wdzięku! W czystych białych sukniach jak sama świętość, zbliżyła się do kajuty, gdziem leżał, trzy razy pokłoniła mi się, otwierając usta, jakby chciała mówić: jéj oczy stały się dwoma strumieniami, a jak się ten gwałtowny wybuch uspokoił, te słowa z ust jej wypadły: „Dobry Antygonie, skoro los, wbrew lepszym twoim usposobieniom, twoją osobę wybrał na prześladowcę mojego niemowlęcia, stosownie do twojéj przysięgi, „słuchaj, dosyć jest miejsc oddalonych w Bohemii, tam więc, „zapłacz i porzuć je kwilące: a ponieważ niemowlę jest uważane za zgubione na zawsze, proszę cię nazwij je Perdita. „Za ten czyn niemiłosierny, nałożony na ciebie przez mojego „pana, nie ujrzysz więcéj twojéj żony Pauliny.“ A wtedy ze łkaniem znikła w powietrzu. Przestraszony bardzo powoli zebrałem ducha, i pomyślałem że tak było istotnie, że to nie sen. Sny, to dziecińStwo, ale na ten jeden raz, przesądnie go-

tów jestem poddać się temu. Wierzę że Hermiona poniosła śmierć, i że Apollo chce, jeżeli to jest potomstwo Polixena żeby dziecko było złożone, na śmierć lub życie, na ziemi, jego prawdziwego ojca. (Składa dziecko na ziemię z zawiniątkiem i workiem złota) Kwiatku, obyś się rozwinął! Spocznij tu, oto znak po którym cię poznać można, — i to jeszcze. Można cię za to wychować, jeżeli się losowi spodoba, śliczne dziecię, i jeszcze zostanie. Burza się zaczyna. Biedne niebożątko coś za winę matki tak porzucone na zgubę i wszystko co może wypaść. Płakać nie mogę, ale krwawi się serce moje. Jakież to przekleństwo, żem się przysięgą do tego zobowiązał! Żegnam cię. Dzień zaciemnia się coraz bardziéj; zdaje się że zbyt szorstką będziesz miała kołyskę; nigdym nie widział, żeby w dzień niebo tak było zachmurzone! Jaki ryk dziki! Obym dopadł szczęśliwie statku! Otóż i pogoń za mną! Zginąłem! (Ucieka ścigany przez niedźwiedzia).

(Wchodzi stary pasterz).

*Pasterz.*

Chciałbym żeby nie było wieku pośredniego między dziesięcioma a dwudziestu trzema laty, albo żeby młodzież cały ten czas przespała: bo w tym przedziale nic się innego nie robi tylko się dziewczęta bałamuci, urąga się starszym, kradnie, bije się. (Słychać ryk i grzmoty). Słyszycie teraz! Któż inny, jak te postrzelone głowy, mające po lat dziewiętnaście lub dwadzieścia trzy, pomyślałby, wśród takiéj burzy o polowaniu. Zapędzili mi dwie najlepsze owce, które, lękam się tego, prędzéj wilk znajdzie niż gospodarz; jeżeli je gdzie zobaczę to chyba na brzegu morskim, gdzie bluszcz z głodu gryzą. I to dobrze jeżeli taka wola losu! Ale cóż tu mamy? (Podnosi dziecko). Niemowlątko, ładniutkie niemowlątko. Chłopiec czy dzieweczka? Śliczna, doprawdy śliczna dziecina. Pewnie jakaś intryga. Chociaż nie jestem piśmienny, mogę tu wyczytać na pewno jakąś intrygę z pańskiego dworu. Schadzki na schodach, w garderobie, w przedpokoju. Cieplej im było, jak temu niewiniątku. Wezmę je z litości, ale zaczekam aż mój syn wróci. Usłyszałem jego wołanie. Oho! ho! ho!

*Gaweł* (Wchodzi)

Holla! la!

*Pasterz.*

Co? tak blizko byłeś? Jeżeli chcesz widzieć coś takiego o czem będzie do mówienia i wtedy jak już będziesz w ziemi i spróchniejesz, to chodź tu. Co tobie jest człowieku?

*Gaweł.*

Takie widziałem dwie rzeczy na morzu i na lądzie! Ale źle mówię że na morzu, bo już nie ma morza, tylko niebo wzburzone: między morzem a niebem nie wciśniesz końca igły.

*Pasterz.*

No, cóż, chłopcze, co to takiego?

*Gaweł.*

Chciałbym żebyście widzieli jak burza huczy, jak się wścieka, jak bije o brzeg. Ale nie o to idzie. Ach! ten krzyk przeraźliwy biednych ludzi! Czasem ich widać, to znów nie widać; to zdaje się, że okręt przedziurawi księżyc wielkim masztem, to znowu połyka go fala i piana, jak gdyby kto rzucił korek do balii. A teraz znowu z lądową służbą co się dzieje! Patrzyć na to, jak mu niedźwiedź ramię szarpał, jak wołał na mnie o pomoc, mówiąc, że mu na imię Antygon, że jest dworskim panem. Ale żeby już raz skończyć z tym okrętem: trzeba było widzieć jak go morze pożarło. Ale najprzód, jak biedne ludziska ryczały, a morze się z nich śmiało; a potem, jak biedny szlachcic ryczał, a niedzwiedź śmiał się z niego, a ryczeli oboje głośniéj, jak morze i burza.

*Pasterz.*

Zmiłuj się, kiedy to było, chłopcze?

*Gaweł.*

Teraz, teraz, ledwiem mrugnął, odkąd widziałem te rzeczy; ludzie nie ostygli jeszcze pod wodą, a niedźwiedź i do połowy nie zjadł szlachcica; jeszcze nie!

*Pasterz.*

Szkoda że mnie tam nie było; to bym ratował starego

*Gaweł* (na stronie).

Chciałbym też żebyś się był dostał na brzeg okrętu dla poratowania ich! Tam by się twoja litość potknęła.

*Pasterz.*

Przykre to rzeczy! przykre rzeczy! Ale patrz no tutaj chłopcze! Teraz, przeżegnaj się! Ty spotykasz umierających, a ja nowonarodzonych. Oto masz na co popatrzyć! Pieluszki jak

na szlacheckie dziecko. Patrz no tu! (Podnosi worek) Weź to! weź to, chłopcze i otwórz. Zobaczmy, mówiono mi, że mię wróżki zbogacą. To jakieś zamienione dziecko. — Otwórz no; co tam jest wo środku, chłopcze?

*Gawel* (wyciąga garść złota).

Szczęści wam się, ojcze. Żeby tylko grzechy młodości były odpuszczone, to by można dobrze żyć. Złoto! samo złoto!

*Pasterz.*

To złoto czarodziejskie, chłopcze; przekonamy się o tem. Zabierz to i dobrze zamknij. Do domu, do domu, najbliższą drogą. Wiedzie nam się chłopcze; a chcąc żeby się nadal wiodło potrzeba tylko sekret zachować. Niech sobie owce same idą. Idź mój synu, najbliższą drogą do domu.

*Gaweł.*

Idźcie wy najbliższą drogą z tem coście znaleźli, a ja pójdę zobaczyć, czy niedźwiedź odszedł od szlachcica, i ile go zjadł. Niedźwiedzie póty tylko złe, póki głodne: jeżeli zostały jakie szczątki to je pogrzebię.

*Pasterz.*

To dobry uczynek. Jeżeli z resztek możesz poznać kto on był, to zaprowadź mię, żebym zobaczył.

*Gaweł.*

Pewnie że tak; a pomożecie mi pogrzebać go w ziemi.

*Pasterz.*

Dobry to dzień dla nas, chłopcze; trzeba też coś dobrego zrobić. (Wychodzą).

*(Koniec pierwszéj części).*